razem z dodatkami

magazyn REJSY

+

Gdański port lotniczy niebawem świętować będzie swoje półwiecze

● Lotnisko w Rębiechowie otwarto 2 maja 1974 roku. Już dzień wcześniej wylądował na nim samolot z Wrocławia...

PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych filmów i seriali**

To już dziś! Dzień losowania w „Naszej Loterii". Do wygrania Fiat 500 lub 10 000 zł. Wciąż jeszcze możesz dołączyć do gry. **Jeśli do godz. 15.30 wyślesz SMS o treści GRAM na 7375 (3,69 zł) weźmiesz udział w losowaniu!**

Szczegóły na naszaloteria.pl

NASZA LOTERIA

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Dziennik Bałtycki

79 lat

Piątek 5.04.2024

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 80 (24 138) //Rok 79

Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT)

Magazyn Puls

Damian Soból zginął w Strefie Gazy, niosąc pomoc ofiarom wojny Izraela z Hamasem **str. 22-23**

REGION

Zakaz połowu - sposób na bałtyckie dorsze

W 2023 roku obserwowaliśmy trzykrotny wzrost liczebności małych dorszy w polskich obszarach morskich, a badania w czasie ostatniego rejsu, który przeprowadziliśmy w lutym bieżącego roku, pokazały, że wzrost liczebności jest aż sześciokrotny. Zakaz połowu przynosi zatem pozytywny skutek - mówi dr Krzysztof Radtke, ichtiolog Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni.

Czytaj str. 13

Nr ISSN 2353-6160 Nr indeksu 350-028

14

9 772353 616054

WYBORY W NAJBLIŻSZĄ NIEDZIELĘ ZDECYDUJEMY O KSZTAŁCIE POLSKIEGO SAMORZĄDU

Władza w naszych rękach

FOT. KAROLINA MISZTAL

Wybory samorządowe decydują o charakterze życia lokalnego. Nie chodzi jedynie o duże inwestycje w infrastrukturę, ale swego rodzaju klimat miasta czy gminy. O to, czy władza jest bliżej ludzi – uważa prof. Jarosław Nocoń z Uniwersytetu Gdańskiego **str. 4-5**

REKLAMA 0011022167

eprasa.pl 4ffdeca71f

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA
● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi

PONIEDZIAŁEK
● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu

WTOREK
● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze

ŚRODA
● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia

CZWARTEK
● Coś dla miłośników historii kryminalnych...

PIĄTEK
● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Nie tylko kwestia estetyki. Otyłość to matka naszych wszystkich chorób

Iga Leszczyńska
Rozmowa

Z endokrynologiem prof. Wojciechem Bikiem, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Neuroendokrynologii, nauczycielem akademickim.

Dlaczego otyłość to poważna choroba, a nie tylko problem estetyczny?
O tym, że otyłość, a w zasadzie choroba otyłościowa, bo takiego określenia powinno się używać, jest poważną, przewlekłą chorobą, wiemy już od dawna. Obecnie szacuje się, że na świecie otyłość rozpoznawana jest u około 650 mln ludzi, a otyłość i nadwaga dotyczyć może nawet około 2 mld osób. Możemy więc mówić o epidemii tej choroby. Otyłość jako choroba przewlekła cechuje się zaostrzeniami, które poprzednio określane były jako efekt „jojo". Tkanka tłuszczowa jest nie tylko magazynem energetycznym ustroju, ale także narządem wydzielania wewnętrznego tak jak tarczyca czy nadnercza. Tkanka tłuszczowa wydziela także peptydy, które wpływają na funkcjonowanie organizmu. Dlatego nadmiar zgromadzonej tkanki tłuszczowej jest nie tylko problemem estetycznym, ale powoduje szereg zaburzeń metabolicznych. W konsekwencji prowadzić może do rozwoju szeregu chorób, m.in. schorzeń układu sercowo-naczyniowego, w tym zawałów serca, udarów mózgu, nadciśnienia tętniczego, cukrzycy typu 2, zwiększonego ryzyka powikłań zatorowo-zakrzepowych czy powikłań ze strony układu kostno-stawowego. Choroba otyłościowa ma także negatywny wpływ na płodność zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Możemy zatem powiedzieć, że choroba otyłościowa jest matką wszystkich chorób. Okazuje się, że otyłość i nadwaga wpływa również niekorzystnie na#choroby autoimmunologiczne skóry, takie jak łuszczyca, zwiększając ryzyko ciężkiego jej przebiegu. Otyłość i cukrzyca typu 2 są istotnymi czynnikami ryzyka zachorowania na chorobę Alzheimera lub inne postaci zespołów otępiennych.

ZDJĘCIE:ARCHIWUM

Wojciech Bik: - Każda część naszego organizmu jest zagrożona przez otyłość. To prawdziwy problem

Jak otyłość wpływa na serce, nerki i wątrobę?
Zważywszy na to, że choroba otyłościowa nie pojawia się z dnia na dzień, tylko jest to proces trwający latami, doprowadza do uszkodzenia wielu narządów, np. serca, nerek czy wątroby. Jeśli uszkodzenie narządów jest na wczesnym etapie, jest potencjalnie odwracalne. Natomiast jeżeli ten proces trwa długo, może dochodzić do nieodwracalnych procesów uszkodzenia narządów i wszystkich konsekwencji z tym związanych. Nieprawidłowa funkcja wątroby i nerek nasila także ryzyko rozwoju powikłań w układzie krążenia. Od dawna wiemy, że osoby otyłe mają zwiększone ryzyko wystąpienia zawału serca, choroby niedokrwiennej serca, udarów mózgu. Mniej się mówi o stłuszczeniowej chorobie wątroby w przebiegu otyłości. Szacuje się, że u osób z cukrzycą typu 2 stłuszczeniowa choroba wątroby występuje u około 70 proc. pacjentów, a u osób z otyłością olbrzymią - BMI powyżej 40 - odsetek ten sięga 80-85 proc. Tak więc stłuszczeniowa choroba wątroby stanowi istotny problem diagnostyczny i terapeutyczny. Choroba otyłościowa powoduje także stopniowe uszkodzenie funkcji nerek, prowadząc do nefropatii otyłościowej, zwiększającej ryzyko przewlekłej choroby nerek. Należy pamiętać, że otyłość w sposób jednoznaczny związana jest z rozwojem cukrzycy typu 2, której powikłaniami jest m.in. nefropatia cukrzycowa. Tak więc otyłość może wpływać na ryzyko wystąpienia niewydolności nerek poprzez wiele mechanizmów.

Kiedy możemy sobie poradzić z otyłością jedynie odpowiednią dietą i ruchem? Czy większa aktywność fizyczna wystarczy, by skutecznie walczyć?
Leczenie zaczynamy od zmiany diety i wprowadzenia wysiłku fizycznego dostosowanego do indywidualnych możliwości pacjenta, czyli modyfikacji stylu życia. Bez tej modyfikacji skuteczność leczenia choroby otyłościowej jest niewielka. Pacjent musi zrozumieć, że trzeba zmienić sposób odżywiania się i przygotowywania posiłków. Powinien pamiętać o tym, że wysiłek, dostosowany do jego możliwości, musi być wykonywany systematycznie. To są stałe, powtarzalne czynności, które pacjent powinien wykonywać do końca życia. Czy słyszała pani o jakimś innym czynniku, który może mieć wpływ na otyłość?

Sen?
Właśnie! Bardzo istotnym czynnikiem ryzyka wystąpienia otyłości jest brak snu lub nieprawidłowy sen. Mamy dużą grupę osób, które są narażone na rozwój choroby otyłościowej: osoby pracujące zmianowo, m.in. pielęgniarki, lekarze, dziennikarze, wojskowi i wszystkie służby pracujące w trybie ciągłym. Pamiętajmy, że sen musi być przede wszystkim regeneracyjny. Bardzo istotna jest kwestia higieny snu, chociażby unikanie przed zaśnięciem pracy z komputerem lub niekorzystanie z telefonów komórkowych.

Kiedy warto pójść do specjalisty i do jakiego?
To zależy od stopnia zaawansowania otyłości oraz związanych z nią powikłań. Bierzemy przede wszystkim pod uwagę dolegliwości i choroby współistniejące z otyłością u konkretnego pacjenta. Jeżeli występują powikłania ze strony układu sercowo-naczyniowego, najlepiej zgłosić się do kardiologa. Jeżeli są powikłania związane z zaburzeniami płodności, warto skonsultować się z endokrynologiem lub ginekologiem. W przypadku stwierdzenia stłuszczeniowej choroby wątroby należy rozważyć konsultację gastrologiczną lub endokrynologiczną.

Operacja bariatryczna - kiedy trzeba o niej pomyśleć?
Chirurgia bariatryczna zajmuje bardzo ważne miejsce w leczeniu choroby otyłościowej. W Polsce najczęściej wykonywana jest rękawowa resekcja żołądka, która przynosi bardzo dobre efekty, ale to nie jest efekt gwarantowany do końca życia. Jeśli pacjent nie przestrzega odpowiedniej diety i nie modyfikuje stylu życia, to po kilku latach może wrócić do wyjściowej masy ciała. Chirurgia bariatryczna jest wskazana u osób, które mają przede wszystkim BMI powyżej 40 oraz z BMI pomiędzy 35-40 z chorobami współistniejącymi: nadciśnieniem tętniczym, cukrzycą typu 2 lub innymi współistniejącymi z otyłością. O chirurgii bariatrycznej należy pomyśleć także, jeśli inne metody leczenia nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Na początku zawsze należy zmodyfikować styl życia, w tym zadbać o odpowiednią dietę, wysiłek fizyczny oraz higienę snu. Kolejne etapy leczenia otyłości to farmakoterapia lub operacja bariatryczna. Leczenie zawsze trzeba dobrać indywidualnie do pacjenta. PAP

POGODA NA WEEKEND

Piątek
15°C
10°C
Wiatr płd.-zach, 20 km/h
Uwaga Zachmurzenie duże

Sobota
16°C
7°C
Wiatr zach., 20 km/h
Uwaga Zachmurzenie duże

Niedziela
24°C
9°C
Wiatr pł.-zach., 20 km/h
Uwaga Zachmurzenie przejściowe

WAŻNE TELEFONY

800 190 590
– numer infolinii NFZ dotyczącej postępowania w sytuacji podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195
– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania o nagłych sytuacjach zagrożenia sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444
– infolinia w sprawie koronawirusa, czynna w dni powszednie od godz. 7.00 do godz. 15.00

KURSY WALUT

04.04.2024

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	426/433 (+)
USD	391/399 (-)
GBP	496/503 (+)
CHF	432/445 (-)

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	426/433 (+)
USD	391/399 (-)
GBP	496/503 (+)
CHF	432/445 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO"

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego" i czekam na Państwa listy pod adresem:
stanislaw.balicki @polskapress.pl

Stanisław Balicki

eprasa.pl 4ffdeca71f

POLSKA *i* ŚWIAT

KRAKÓW

Premier Donald Tusk zapowiedział w Krakowie, że nie zablokuje granicy z Ukrainą w sytuacji, w której w ciągu miesięcy rozstrzygają się jej losy. – Ale jeśli chodzi o konkurencję zboża ukraińskiego, to ja coś robię – podkreślił. – W czerwcu będziemy mogli legalnie zgłosić do Komisji Europejskiej embargo na wszystkie produkty żywnościowe i rolne z Ukrainy – zapowiedział szef rządu. | PAP

Nie będę tym, który wbije nóż w plecy Ukrainie. Nie zablokuję granicy w sytuacji, kiedy rozstrzygają się losy Ukrainy

Donald Tusk, premier RP

KRÓTKO

WARSZAWA

Od września obowiązek szkolny dla ukraińskich dzieci

Wiceminister edukacji narodowej Joanna Mucha powiedziała w środę, że od września 2024 roku wprowadzony zostanie obowiązek szkolny dla ukraińskich dzieci przebywających w Polsce. Obejmie on około 50-60 tysięcy uczniów.

Wiceszefowa resortu edukacji powiedziała na konferencji prasowej, że temat obowiązku szkolnego dla ukraińskich dzieci żyjących w Polsce został omówiony ze stroną ukraińską.

– Ministrowie, którzy spotkali się z nami, są bardzo zainteresowani, by ten obowiązek został wprowadzony w Polsce. Oferują współpracę. Na pewno z takiej oferty skorzystamy. Większość tego planu jest gotowa. Czekamy na zapisy ustawy – powiedziała Mucha.

Szacuje się, że w Polsce jest 50-60 tysięcy ukraińskich dzieci, które nie realizują obowiązku szkolnego w polskim systemie edukacji.
Oprac. Anna Nagel | PAP

WARSZAWA

282 auta odebrane za alkohol

FOT. MAŁGORZATA GENCA

W ciągu trzech tygodni, od kiedy wprowadzono przepisy nakładające karę konfiskaty auta za jazdę pod wpływem alkoholu, policjanci odebrali nietrzeźwym kierowcom 282 samochody – poinformowało RMF FM. O tym, co wydarzy się dalej z autami, zadecydują teraz sądy.

SPYTKOWICE

Policja szuka mężczyzny podejrzanego o zabójstwo kobiet

Dwa ciała w zamkniętym domu znaleziono w Spytkowicach w pow. wadowickim. Doszło tam do zabójstwa. Policja szuka mężczyzny podejrzanego o zbrodnię. To najbliższy krewny ofiar. Prawdopodobnie uciekł samochodem.

Mirosław Marek, podejrzewany o zabójstwo, zniknął i nie wiadomo, gdzie obecnie się znajduje.

Policja informuje, że mężczyzna mógł poruszać się samochodem osobowym marki Nissan Mikra o nr. rej. KWA 45544 w kolorze białym, w kierunku granicy z Niemcami.
Małgorzata Gleń

Andrzej Duda zaapelował do przywódców państw NATO

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

Prezydent Andrzej Duda wystosował oficjalny list do przywódców państw NATO z apelem o zwiększenie wydatków na obronność z 2 do 3 procent PKB.

– Dzisiaj, 4 kwietnia, mamy rocznicę historycznego, symbolicznego wydarzenia, jakie miało miejsce 75 lat temu. W Waszyngtonie powstało NATO, największy dzisiaj na świecie sojusz obronny państw demokratycznych, do którego od 25 lat należy Polska. Podkreślam to bardzo mocno, bo dzisiaj niestety żyjemy w bardzo trudnych czasach – powiedział prezydent Andrzej Duda poczas czwartkowej konferencji prasowej.

Prezydent podkreślił, że Polska wyrwała się ze strefy wpływów Związku Sowieckiego i stała się częścią bloku zachodniego.

– Niedawno w Waszyngtonie, na zaproszenie prezydenta Joe Bidena, byłem obecny razem z premierem Donaldem Tuskiem. Tam uczciliśmy rocznicę tego wydarzenia. Jest to dla nas bardzo ważny moment – mówił.

Andrzej Duda stwierdził, że w dzisiejszych czasach, kiedy odrodził się rosyjski imperializm, przynależność Polski do NATO jest szczególnie ważna.

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Prezydent stwierdził, że państwa NATO muszą reagować na próbę odbudowy rosyjskiego imperializmu

„Rosja grozi, Rosja się wzmacnia"

– Rosja grozi i niestety Rosja się wzmacnia. Rozbudowuje swój potencjał militarny. Dziś wydaje praktycznie 1/3 swojego PKB na obronność. Buduje wielką armię, tworzy nowe dywizje i bez wątpienia stanowi dziś zagrożenie dla wolnego świata – oświadczył prezydent.

– Państwa wolnego świata muszą na to reagować, nie tylko wspierając Ukrainę. Rosja wojny na Ukrainie wygrać nie może. Ale dzisiaj także wolny świat powinien umacniać swoje bezpieczeństwo i swoją obronność. Skończyły się czasy spokoju, kiedy uważano, że wojny już nigdy nie będzie, kiedy kwestionowano, czy armie w ogóle są potrzebne. Niestety, obecne czasy pokazały, że armie są potrzebne – mówił.

– Muszę powiedzieć, że z satysfakcją patrzę na to, że my taką armię w Polsce budujemy. Wydajemy ponad 4 procent PKB na obronność, na utrzymanie armii i jej modernizację. Ogromne zakupy sprzętu są realizowane m.in. w Stanach Zjednoczonych, realizujemy też zakupy z Korei Południowej – powiedział Andrzej Duda.

Prezydent pisze do przywódców NATO

– Ale Sojusz musi się umacniać jako całość. Potężne armie powinny mieć nie tylko USA, Wielka Brytania i Francja. Wszystkie kraje powinny realizować jasną politykę umacniania bezpieczeństwa swojego i całego Sojuszu – stwierdził prezydent.

Przypomniał, że miesiąc temu wystąpił o to, żeby minimalny poziom wydatków na obronność w państwach NATO zwiększyć z 2 proc. PKB do 3 proc. PKB.

– Ta propozycja spotkała się z dobrym odzewem w Stanach Zjednoczonych. Przyjęto tę propozycję z uwagą i zainteresowaniem, m.in. w amerykańskim Kongresie. Mogę śmiało powiedzieć, że od razu przyznano mi rację – oznajmił Andrzej Duda.

– Dziś zdecydowałem się wystosować list do wszystkich przywódców państw NATO i sekretarza generalnego Sojuszu, gdzie na piśmie sformułowana jest ta propozycja wraz z uzasadnieniem – powiedział prezydent.

Andrzej Duda dodał, że po to budujemy nasz potencjał militarny, żeby nie walczyć, żeby nikt nie odważył się nas zaatakować.
PAP

Szef MON o śmierci Polaka w Strefie Gazy: Oczekujemy przeprosin, wyjaśnienia sprawy i zadośćuczynienia

Oprac. Anna Nagel
Płock

– Oczekujemy przeprosin, żądamy wyjaśnienia sprawy i zadośćuczynienia – powiedział szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, nawiązując do tragicznej śmierci Damiana Sobóla.

Minister obrony narodowej, zarazem szef PSL i jeden z liderów Trzeciej Drogi, uczestniczył w środę w Płocku w konwencji wyborczej tej formacji wraz z marszałkiem Sejmu, liderem Polski 2050 Szymonem Hołownią. Podczas spotkania Kosiniak-Kamysz odniósł się m.in. do śmierci Damiana Sobóla, który zginął tragicznie w ataku na konwój humanitarny w Strefie Gazy.

Szef MON stwierdził, że silna Polska to takie państwo, które – gdy wydarzyła się tragedia – mówi jasno i wyraźnie jednym głosem, jednym głosem mówią wszyscy najważniejsi politycy.

– Mówimy wobec naszych partnerów z państwa Izrael: oczekujemy przeprosin i żądamy wyjaśnienia sprawy, i zadośćuczynienia. Oczekujemy pochylenia głowy, a nie buńczucznych wypowiedzi. To jest nasze żądanie. To jest nasze żądanie i oczekiwanie – oświadczył Kosiniak-Kamysz. Dodał, że takie stanowisko jest „świętym prawem" państwa polskiego.

Siedmioro wolontariuszy organizacji humanitarnej World Central Kitchen (WCK), w tym Polak, zginęło w Strefie Gazy; organizacja podała, że zostali ostrzelani przez izraelską armię. Do wydarzenia doszło podczas dostarczania przez pracowników pomocy żywnościowej, która przybyła do Strefy Gazy kilka godzin wcześniej statkiem z Cypru. Wśród ofiar śmiertelnych są obywatele Australii, Polski i Wielkiej Brytanii oraz jedna osoba z obywatelstwem amerykańsko-kanadyjskim. Zginął także palestyński kierowca.
PAP

eprasa.pl 4ffdeca71f

magazyn REJSY
www.dziennikbaltycki.pl

HISTORIA

Publikacja poświęcona księżom „patriotom” ukazała się nakładem IPN. – Rozmawiając z ludźmi, bardzo często słyszałem: „To świetnie, że wziął się pan za tych wspaniałych księży, co działali w czasie II wojny światowej”. Musiałem więc prostować, że chodzi o grupę duchownych, którzy zdecydowali się na współpracę z komunistycznymi władzami po 1945 roku – mówi autor, dr Jan Hlebowicz **STR. 9-10**

FOT. REPRODUKCJA

SPOŁECZEŃSTWO

Człowiek, jak upadnie, może próbować wstać... Łukasz Barszcz ma dzisiaj 33 lata. Nigdy wcześniej nie otwierał się przed dziennikarzem, opowiadając szczerze o ciemnych stronach swojego życia **STR. 11-12**

BEZPARTYJNA ELEKCJA SAMORZĄDOWA

W tych wyborach mieszkańców Polski zdecydowanie bardziej interesują budowy dróg, chodników, remonty infrastruktury, sprawy szkół i przedszkoli. Tu nie da się wkomponować politycznych barw i emocji – mówi dr hab. Marek Górka z Politechniki Koszalińskiej. – Wybory samorządowe decydują o charakterze życia lokalnego. Nie chodzi jedynie o duże inwestycje w infrastrukturę, ale swego rodzaju klimat miasta czy gminy. O to, czy władza jest bliżej ludzi – dodaje prof. Jarosław Nocoń z Uniwersytetu Gdańskiego

Tomasz Chudzyński

To najbardziej obywatelskie i bezpośrednie w wymiarze wybory w demokratycznym państwie prawa. I zupełnie inne od kampanii parlamentarnych. W porównaniu do pełnych emocji wyborów z jesieni ub. roku mogą uchodzić wręcz za... radosne. W najbliższą niedzielę obywatele powierzą władzę nad miastami, gminami i powiatami na kolejne pięć lat, ludziom, których bardzo często osobiście znają.

– Wybory samorządowe są równie ważne, co wybory centralne, trzeba to wyraźnie podkreślić. Nauczyliśmy się w Polsce samorządności, badania wskazują na rosnącą liczbę inicjatyw lokalnych, obywatelskiej, społecznej aktywności – mówi prof. Jarosław Nocoń, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego. – Samorządy mają wciąż możliwości zdobywania środków unijnych dedykowanych na różnego rodzaju inwestycje, kształtowania swojego rozwoju czy prowadzenia międzynarodowych relacji. Wybory samorządowe w dużej mierze decydują o charakterze życia lokalnego. Nie chodzi jedynie o duże inwestycje w infrastrukturę, ale swego rodzaju klimat miasta czy gminy. O to, czy władza jest bliżej ludzi? Czy mają oni poczucie, że są wysłuchani, że mają bezpośredni kontakt z władzą? A może jest ona oddalona od obywateli? Wybory samorządowe mają zatem wyraźne znaczenie polityczne i finansowe. Co ważne, osadzenie prawno-konstytucyjne samorządów jest bardzo silne i znane w poprzednich latach próby ograniczania możliwości władz lokalnych z punktu widzenia centralnego okazały się nieskuteczne.

– Wybory samorządowe są przede wszystkim potwierdzeniem przywództwa lokalnego, testem lokalnego lidera, aktywisty, najczęściej bez politycznych barw – podkreśla dr hab. Marek Górka, politolog z Politechniki Koszalińskiej.

Czy polskie społeczeństwo pójdzie do urn tak licznie jak 15 października 2023 roku? Czy po ostatniej, brutalnej, intensywnej pod względem emocji kampanii parlamentarnej oraz procesie zmiany rządu, również pełnym emocji, wyborcy nie są zmęczeni i znajdą siły, by wybrać swojego radnego?

– Wybory samorządowe opierają się w znacznej mierze na aktywizacji poczucia tożsamości lokalnej. To zupełnie inna motywacja do pójścia na wybory. W samorządach trudno o zaangażowanie emocji na poziomie takim, jak w wyborach parlamentarnych. Z drugiej strony wciąż w społeczeństwie obecny jest klimat zmiany władzy, procesu, który nastąpił jesienią ubiegłego roku. On może przyczynić się do zwiększenia frekwencji. Oby lokalna tożsamość przezwyciężyła u obywateli pokusy, jakie będzie niosła ze sobą pogoda tej kwietniowej niedzieli. Wbrew pozorom, co potwierdzają badania, aura ma wpływ na liczbę głosujących – podkreśla prof. Nocoń.

Kampania z psem na banerze

O ile zatem wybory samorządowe i parlamentarne łączy konstytucyjne umocowanie, to różni na pewno sposób prowadzenia kampanii. Uliczne rozmowy o miejskiej zieleni, o nierównym chodniku, budowie świetlicy, debaty o wodociągach czy planach rozwoju, kampania door to door, mailingowa, telefoniczna... Do tego wszechobecne banery, z których spoglądali kandydaci pozujący razem ze swoimi czworonogami. Pomysłowo, z humorem, ale bez emocji. Czy kończąca się kampania była... miałka, nieciekawa?

– Kampania samorządowa była bardzo ciekawa, choć ma ona swoją wyraźną specyfikę – uważa Marek Górka. – To oczywiście zupełnie inne zjawisko niż przy wyborach parlamentarnych, gdzie kampania ma rys niesłychanie polityczny, porusza bardzo szeroki zakres spraw ideologicznych, takich jak np. aborcja, równość płci, ale też kwestii, które z reguły muszą mieć polityczny wymiar – czyli spraw międzynarodowych, ogólnonarodowych planów strategicznych lub obronności. One nie leżą w zakresie kompetencji wójtów, burmistrzów czy prezydentów miast. W tych wyborach mieszkańców Polski zdecydowanie bardziej interesują budowy dróg, chodników, remonty infrastruktury, sprawy szkół i przedszkoli. Kampania zatem musi odpowiadać na lokalne potrzeby, i tak też była konstruowana przez kandydatów.

Marek Górka i Jarosław Nocoń podkreślają, że była to po prostu „konkretna dyskusja na argumenty”. Mobilizowanie wyborców przez „duże” ugrupowania polityczne oczywiście było widoczne, choćby w postaci wizyt najważniejszych partyjnych liderów w regionach. Niemniej nie miały one takiej skali jak w kampanii przed wyborami parlamentarnymi z 2023 r.

– Nasze życie polityczne, zwłaszcza na szczeblu centralnym zostało zdominowane przez głęboki konflikt, podział społeczny. On bardzo mocno angażuje emocje wyborców, także na szczeblu lokalnym. Możemy obserwować je i w wyborach samorządowych, przy okazji niektórych, lokalnych podziałów, ale są to zjawiska epizodyczne. Sama kampania samorządowa ma swój koloryt. To jest konsekwencja lokalnej aktywności. Nie wszyscy kandydaci są profesjonalistami, mają swój pomysł na rozpoznawalność, przekonanie wyborców – stąd hasła lub ich zestawienia, mogące uchodzić za niezgodne ze sztuką, kontrowersyjne lub humorystyczne. Jednak badania pokazują, że w kampanii samorządowej nie ma powiązania między radykalnym, kontrowersyjnym przekazem a sukcesem wyborczym. Ludzie chcą rozmawiać o konkretnych działaniach. Po tym można w największym stopniu rozpoznać wyborcze szanse.

– Dało się zauważyć w czasie tegorocznej kampanii samorządowej próby „dołożenia emocji” np. ze strony mediów, komentatorów czy czołowych polityków. Tyle tylko, że nie da się wkomponować ładunku emocjonalnego do rozmów o np. remoncie chodnika czy miejskiego placu, a do takiej rywalizacji trzeba mieć argumenty dotyczące finansów, terminów czy technologii. Czy ktoś chce, czy nie, sprawy życia codziennego będą miały wymiar lokalny. Przykładem była transmitowana debata kandydatów na prezydenta Warszawy. Ona interesowała tylko mieszkańców stolicy, dla innych była zwyczajnie nieciekawa – mówi dr hab. Marek Górka.

Dr hab. Marek Górka zauważa jeszcze jeden mechanizm obecny w kampanii samorządowej.

– Wybory do władz lokalnych są szansą na zaistnienie nowych polityków. Pojawiają się nowe twarze i przed głosowaniem powinniśmy odrobić pewną lekcję – zwrócić uwagę, jakie kandydaci mają wykształcenie, jakim dysponują doświadczeniem, umiejętnościami, czy nie są osobami zupełnie przypadkowymi... Z drugiej strony każdy polityk raz na pięć lat chce zademonstrować pewną innowacyjność, otwartość, pokazać się na tle młodych, aktywnych ludzi. Tyle że doświadczenie wskazuje, że ten wielobarwny „karnawał” jest krótki. Szybko prze-

FOT. MARCIN KAPELA

Badania pokazują, że w kampanii samorządowej nie ma powiązania między radykalnym, kontrowersyjnym przekazem a sukcesem wyborczym

eprasa.pl 4ffdeca71f

chodzi w czas „postu", czyli zwykłego sprawowania władzy, w którym na innowacje nie ma miejsca. Sporo rozmawiałem z osobami kandydującymi np. do rad gmin czy powiatu. Usłyszałem słowa żalu ze strony kobiet, lokalnych liderek. Skarżyły się na niskie miejsca na listach, jakie przydzielają im poszczególne ugrupowania. Sprawa ta wymaga pogłębionych badań, niemniej gdyby znalazła potwierdzenie i lokalne liderki byłyby traktowane jako „kwiatek do kożucha", oznaczałoby to hipokryzję w kraju stawiającym na równouprawnienie - podkreśla politolog.

Odtrutka od upartyjnienia

Czy wybory samorządowe mogą mieć przełożenie na krajową politykę? Prof. Jarosław Nocoń podkreśla, że są one przede wszystkim w znacznie mniejszym stopniu upartyjnione. Nazwy partii ogólnopolskich pojawiają się tam, gdzie stawką jest największy poziom władzy, czyli np. w sejmikach wojewódzkich czy stanowiskach prezydentów największych miast. - Przepustką do „dużej" polityki może być choćby fotel prezydenta Warszawy - mieliśmy tu przykład krajowy w postaci Lecha Kaczyńskiego. We Francji taki schemat jest jeszcze bardziej wyraźny - np. Jacques Chirac „przesiadł się" z fotela mera Paryża na fotel prezydenta republiki - wskazuje Jarosław Nocoń.

To jednak, co jest bardziej charakterystyczne, to zauważalne odejście w wyborach samorządowych działaczy politycznych od szyldów swoich macierzystych ugrupowań.

- I tak, i nie - mówi dr hab. Marek Górka, pytany o to, czy w wyborach samorządowych znaczenie mają barwy partyjne. - Zgodzić się należy, że wszystkie partie starają się ukrywać swoje emblematy. Lokalne środowisko bardzo mocno akcentuje swoją bezpartyjność. To jest zdecydowany atut Polski samorządowej. Natomiast trzeba zauważyć, że obywatelki i obywatele nie gubią swoich poglądów, politycznych preferencji. Co zrozumiałe, konserwatywny wyborca nie porzuci w czasie samorządowych wyborów swoich ideałów, podobnie jak liberalny. Oni będą poszukiwać kogoś w regionie, kto będzie najlepiej ich reprezentował, także w wymiarze ideologicznym. Istnieje oczywiście pewien stereotyp, że Polska zachodnia i północna są bardziej liberalne, a wschodnia i południowa bardziej konserwatywne. Jednak podział ten nie jest oczywisty - Polska nie jest zero-jedynkowa, co potwierdzają właśnie wyniki samorządowych wyborów.

Warto pamiętać, że sprawujący wówczas władzę PiS w ubiegłym roku przesunął datę obecnych wyborów samorządowych z terminu jesiennego na tegoroczną wiosnę. Oficjalnie tłumaczono tę decyzję trudnościami w organizacji w niemal tym samym okresie wyborów samorządowych i parlamentarnych. Wielu komentatorów wskazywało, że PiS obawiał się, że porażka w elekcji lokalnej mogłaby wpłynąć na rezultaty głosowania do Sejmu i Senatu. I jest pytanie o możliwą analogię - czy obecnie potencjalny dobry wynik dzisiejszej opozycji w wyborach do sejmików wojewódzkich czy prezydentów miast, mógłby zwiastować zmiany w układzie politycznym zarysowanym po 15 października 2023 roku?

- Jestem sceptyczny co do takiej korelacji. Żadne badania nie potwierdzają, że rezultaty wyborów samorządowych mogłyby wywierać istotny wpływ na preferencje wyborcze obywateli w następujących po nich wyborach parlamentarnych. To jest zupełnie inna kwestia - podkreśla Jarosław Nocoń.

- Zauważmy, że to raczej jesienne wybory parlamentarne stały się preludium do wyborów samorządowych. Część kandydatów na posłów i senatorów, która nie uzyskała mandatów, ale miała dobre wyniki, dostała argument do startu w wyborach samorządowych, i to na najbardziej znaczące stanowiska. To właśnie obserwowaliśmy. Czy jednak może to działać w drugą stronę? Decydującą rolę może odgrywać tutaj czas - czy w perspektywie pięcioletniej kadencji, jaka upłynie do wyborów parlamentarnych, siła, popularność lokalnego polityka, samorządowca zwyczajnie nie wyblaknie, czy jego dobry wynik w głosowaniu na radnego przełoży się na rezultat wyborów parlamentarnych - tłumaczy Marek Górka.

Bliskie ideału, choć nie wszędzie

Pierwsze wybory samorządowe po upadku PRL odbyły się 27 maja 1990 roku. Polacy wybierali wówczas swoich przedstawicieli do rad gmin. Po niemal dekadzie na kartach do głosowania pojawili się kandydaci na radnych powiatowych, a reforma w kolejnych latach wprowadziła bezpośredni wybór wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

- Mamy bardzo dużą podmiotowość lokalnych liderów, działaczy społecznych chcących kształtować funkcjonowanie swoich miast i gmin. Oni są jak najbardziej lokalni, a jak najmniej upartyjnieni - wskazuje prof. Nocoń.

Mogłoby to wskazywać, że samorządy przyjęły dokładnie obraz taki, jaki wyobrażano sobie 34 lata temu, gdy powstawały rady gmin. Z drugiej strony są samorządy, w których jest tylko jeden kandydat na burmistrza lub wójta. To ktoś będący zazwyczaj od lat na tym stanowisku. Takich gmin i miast ma być ponad 400, według danych PKW. Analogiczna sytuacja dotyczy głosowania na radnych - są obwody, w których brakuje chętnych do objęcia mandatów. To całkowity zastój w idei obywatelskiej działalności lokalnej.

- To się zdarza, zwłaszcza w małych gminach. Taki brak konkurencji, kontrkandydata dla np. wójta wynika z opanowania przez funkcjonującą przez dłuższy czas władzę lokalnych zasobów organizacyjnych. Mniejszy potencjał ludnościowy przekłada się na obecność lokalnych liderów w gminach. W dodatku w mniejszych gminach władza jest w stanie „zagospodarować" po swojemu takich aktywistów lub wręcz włączać ich do własnych inicjatyw. W takim wypadku działają oni na rzecz szerokiej koalicji. To właśnie taka ekspansja w regionach może powodować, że potencjalni chętni do roli wójta, burmistrza czy radnego nie widzą zbyt wielkich szans i rezygnują z samorządowej działalności jeszcze przed startem w wyborach - tłumaczy Jarosław Nocoń.

- Obserwowanym wielokrotnie zjawiskiem są ci, którzy stali się politykami z zawodu. Zarówno na szczeblu lokalnym, samorządowym, jak i ogólnokrajowym, parlamentarnym. Skutkiem długotrwałego sprawowania mandatu lub pełnienia innej funkcji ktoś taki zwyczajnie traci „kontakt z rzeczywistością". Z perspektywy swojego stanowiska tracą wiedzę na temat przyziemnej codzienności, czyli problemów wpływających na życie obywateli - dodaje Marek Górka.

Przed swoistym zdegenerowaniem samorządowej idei poprzez wieloletnie „zasiedzenie" lokalnych włodarzy chronić ma ograniczanie kadencji wójtów, burmistrzów i prezydentów miast do dwóch. W najbliższą niedzielę wielu z obecnych samorządowców rozpocznie swoje ostatnie kadencje.

- Kadencyjność ma swoje plusy i minusy. Jednak doświadczenie polityczne, a także powszechna opinia wśród ekspertów wskazują, że to dobre rozwiązanie. Głównie ze względu na to, co nazywa się w politologii alternacją władzy, czyli pewną szansą na zmiany, usunięcie skostniałych struktur władzy. W tym kontekście sama zmiana władzy, nawet jeżeli przynosi gorszego wójta, burmistrza czy prezydenta, jest bardziej reprezentatywna. Demokracja lokalna zyskuje na tym, jeśli większość mieszkańców może swoją reprezentację do władzy zmienić - mówi Jarosław Nocoń.

©℗

REKLAMA 0011055003

Czytelnicy „Dziennika Bałtyckiego" wciąż jeszcze mają szansę na Fiata 500 lub gotówkę!

To ostatni moment na to, by dołączyć do gry!

Nowe auto lub zastrzyk gotówki
Odjazdowa runda „Naszej Loterii" weszła w kulminacyjny moment. Niebawem jeden ze szczęśliwych graczy dowie się o wygranej nowiutkiego i atrakcyjnego Fiata 500 lub 10 000 złotych! Dlatego, jeśli jeszcze nie dołączyłeś do gry, a chciałbyś wziąć udział w losowaniu, możesz wysłać SMS o treści GRAM na nr 7375 (koszt SMS to 3,69 zł) najpóźniej do godziny 15.30 w piątek, 5 kwietnia.
Z osobą, której dopisze szczęście i to jej numer zostanie wylosowany w piątkowym losowaniu, spróbujemy się skontaktować telefonicznie. Dlatego bardzo ważne jest, aby w dniu losowania, po godz. 15:30 odbierać swój telefon, nawet jeśli wyświetla się na nim numer nieznany. W przeciwnym razie nagroda trafi do kolejnej wylosowanej osoby.

Proste zasady i świetne nagrody
„Nasza Loteria" to zabawa, która jest skierowana do czytelników „Dziennika Bałtyckiego", a także użytkowników serwisu dziennikbaltycki.pl i www.naszemiasto.pl. Składa się z rund różnej długości. O tym, ile dana runda trwa, można się dowiedzieć ze strony naszaloteria.pl. Szczęśliwiec, który zostanie wylosowany w danej rundzie ma szanse wygrać wspaniałe nagrody: gotówkę, nagrodę rzeczową, lub jedno i drugie. O tym także informujemy na bieżąco na stronie loterii.

To nie koniec atrakcji. W WIELKIM FINALE do wygrania 250 000 zł!
Gdyby komuś było mało emocji związanych z nagrodami, które aktualnie są do wygrania w "Naszej Loterii", to w zanadrzu mamy jeszcze coś EKSTRA. W listopadzie odbędzie się wielki finał, w którym do zgarnięcia będzie aż ćwierć miliona złotych! I co najważniejsze, weźmie w nim udział każdy SMS i każdy los kupiony podczas trwania całej loterii.
No to jak? Dołączysz do gry?
Szczegóły i regulamin znajdują się na stronie naszaloteria.pl. Loteria dla osób w wieku 18+. Organizatorem Loterii i Administratorem danych jest Peakmake Sp. z o.o.

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

To już pół wieku - skrzydła nad Rębiechowem

Pierwszy wybudowany w kraju od podstaw w szczerym polu port lotniczy obchodzi 50-lecie. Lotnisko w podgdańskim Rębiechowie było jedną z inwestycji dekady gierkowskiej PRL-u. Na przestrzeni dekad liczba obsługiwanych rocznie pasażerów wzrosła niemal 25-krotnie, by zbliżyć się w jubileuszu do 6 milionów

Stanisław Balicki

Lotnisko w Rębiechowie (a w zasadzie pomiędzy tą dzielnicą a Firogą, Matarnią i Bysewem) zostało otwarte 2 maja 1974 roku. Już dzień wcześniej wylądował na nim pierwszy rejsowy samolot z Wrocławia. Jednak oficjalna inauguracja nie mogła się odbyć bez PRL-owskich dygnitarzy zajętych dzień wcześniej stołecznymi obchodami Święta Pracy. 20 minut przed południem na 2,5-kilometrowym pasie wylądował LOT-owski Ił-18, wyjątkowo obsługujący tego dnia rozkładowy rejs z Warszawy. Z samolotu, zwykle obsługującego połączenia międzynarodowe, wysiedli m.in. wicepremier Jan Mitręga i minister komunikacji Mieczysław Zajfryd. Gości witali wojewoda gdański Henryk Śliwowski i I sekretarz KW PZPR Tadeusz Bejm. Ten ostatni patronował w regionie również innym znanym inwestycjom infrastrukturalnym, jak obwodnica Trójmiasta, rafineria czy Port Północny.

Prace ziemne na budowie lotniska rozpoczęły się w grudniu 1971, we wrześniu 1973 roku budowę można było już określić jako „stan surowy". Wtedy właśnie zakończyło się betonowanie pasa startowego. Wcale nie było pewne, że port lotniczy powstanie akurat w Rębiechowie. Rozpatrywano różne lokalizacje, choćby lotnisko wojskowe w Pruszczu Gd. Pojawił się nawet futurystyczny pomysł budowy na Zatoce Gdańskiej. Wygrała jednak koncepcja usytuowania portu blisko Gdańska i Gdyni, na lądzie. Ostateczna decyzja zapadła w 1971 roku. Po trzech latach Port Lotniczy Gdańsk-Rębiechowo był gotowy. Obiekt, na 350 ha gruntów, był pierwszym w historii Polski lotniskiem cywilnym wybudowanym od podstaw, w szczerym polu.

Decyzja o likwidacji funkcjonującego w Gdańsku-Wrzeszczu od 1919 roku pierwszego cywilnego lotniska, którego pozostałości można jeszcze rozpoznać w ciągu al. Jana Pawła II na gdańskiej Zaspie, zapadła w połowie lat 60. XX wieku. Historia tamtego gdańskiego portu lotniczego łączy się z początkami polskiego lotnictwa cywilnego.

FOT. NAC

2 maja 1974 r. o godz. 11.40 w Rębiechowie wylądował Ił-18 lecący ze stolicy. Tego dnia uroczyście otwarto lotnisko, choć już 1 maja do Gdańska dotarł samolot z Wrocławia

Pierwsze międzynarodowe połączenie „Aerolloyda", z którego wywodzą się Polskie Linie Lotnicze LOT, ruszyło właśnie na linii Gdańsk-Warszawa w 1922 roku. Lotnisko na obecnych terenach Zaspy zostało zamknięte dla ruchu pasażerskiego na miesiąc przed otwarciem „Rębiechowa", o którego budowie zdecydowano, gdy zapadł wyrok na pierwszy gdański port lotniczy.

W pierwszym roku działalności nowy port lotniczy obsłużył ćwierć miliona pasażerów, podobnie jak wcześniej we Wrzeszczu w zdecydowanej większości na trasach krajowych. Gdańsk łączyły z Warszawą, Szczecinem, Bydgoszczą, Krakowem, Wrocławiem, Katowicami i Rzeszowem regularne regionalne rejsy LOT-u. W latach 80., po stanie wojennym, liczba pasażerów na lotnisku drastycznie spadła. Po transformacji ustrojowej od 1989 roku lotnisko zaczęło wychodzić ze stagnacji w okresie upadku PRL. Jeszcze w 1994 roku, gdy „Rębiechowo" częściowo skomunalizowano (państwowe Polskie Porty Lotnicze zachowały niespełna jedną trzecią udziałów), obsłużono prawie 150 tys. pasażerów. Latano głównie na topniejącej sieci połączeń krajowych, były już jednak pierwsze regularne rejsy międzynarodowe, do Hamburga, Kopenhagi i Petersburga.

Ruch na lotnisku nie był jednak zbyt wielki, co dobrze opisuje sytuacja z września 1994 roku. Nie było problemu ze zorganizowaniem w Rębiechowie... otwartych wielogodzinnych pokazów lotniczych. Air Show Gdańsk '94 miał się zacząć zaraz po odlocie rejsowego samolotu do Kopenhagi. W korku podążających na pokazy jednojezdniową jeszcze wtedy ul. Słowackiego utknął m.in. autobus z pasażerami tego rejsu. Samolot odleciał, pokazy rozpoczęły się. Po kilku godzinach przerwano je na rejsowy przylot ze stolicy, po czym wznowiono. Plotka głosi, że grupa szwedzkich biznesmenów, którzy jechali feralnym autobusem na swój rejs i się spóźnili, wytoczyła portowi lotniczemu proces o odszkodowanie i go wygrała.

GDAŃSKI PORT LOTNICZY JEST 3. W KRAJU. OBSŁUGUJE PONAD 80 POŁĄCZEŃ. SZACUNKI NA 2024 R. PRZEWIDUJĄ OSIĄGNIĘCIE 6 MLN ODPRAW

Mimo tego falstartu u progu komunalizacji „Rębiechowo" zaczęło się dynamicznie rozwijać. W 1997 roku, na 1000-lecie Gdańska, został oddany do użytku nowy terminal pasażerski. W 2006 roku liczba odpraw przekroczyła milion, w 2010 - 2 miliony. Dworzec pasażerski, jeszcze 15 lat wcześniej będący chlubą portu, szybko okazał się za mały, w 2012 roku został zastąpiony terminalem T2. Ten rok był ważny dla rozwoju portu. By obsłużyć gości piłkarskiego Euro 2012, rozbudowano też płytę postojową i wybudowano przy pasie startowym drogę kołowania z drogami szybkiego zejścia z pasa. Terminal T2 dwukrotnie jeszcze był rozbudowywany do 2015 i 2022 roku. Z zakończeniem pierwszego etapu rozbudowy została uruchomiona Pomorska Kolej Metropolitalna, łącząca m.in. lotnisko z centrum Gdańska i Kaszubami. Stacja kolei połączona jest bezpośrednio z dworcem lotniczym.

FOT. GRZEGORZ MEHRING

Tak przebiegała rozbudowa gdańskiego lotniska, które zyskało drugi terminal pasażerski

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Gdański port ma i takie momenty w historii - pusta hala po wprowadzeniu zakazu lotów w związku z pandemią

Gdański port lotniczy jest 3. w kraju (po warszawskim Okęciu i krakowskich Balicach) pod względem liczby obsłużonych pasażerów. W 2019 roku przekroczył granicę 5 mln odpraw, jednak potem nastąpił, jak wszędzie, pandemiczny spadek tej liczby. Gdański port lotniczy 2022 rok zakończył liczbą prawie 4,6 mln pasażerów, w roku poprzedzającym jubileusz znów przekroczył poziom 5 mln. Szacunki na rok 2024 przewidują osiągnięcie 6 mln. Dziś gdański port lotniczy obsługuje 85 regularnych połączeń 10 linii lotniczych oraz setki lotów czarterowych różnych przewoźników. Kolejna planowana rozbudowa terminala ma zwiększyć przepustowość portu lotniczego do 9 mln pasażerów rocznie. W ciągu 30 lat działalności, jako spółka samorządów: wojewódzkiego, Gdańska, Gdyni, Sopotu i PPL, port obsłużył 60 z 65 milionów pasażerów, którzy korzystali z „Rębiechowa" przez jego 50-lecie.

eprasa.pl 4ffdeca71f

ALEŻ TO SĄ FURY I MOTOCYKLE! ALEŻ PODBIJAJĄ WASZE SERCA!

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Trwa emocjonująca rywalizacja o tytuły Mistrzów Motoryzacji. W kategorii Ale Fura! oraz Ale Motor! otworzyliśmy łamy dla tych, którzy chcą swój wyjątkowy pojazd pokazać światu.

Prędkość, technologie, estetyka i emocje - to coś, co napędza serca wielu miłośników motoryzacji na całym świecie. Dla Nich samochód czy motocykl to jest nie tylko metalowa maszyna, ale prawdziwy przyjaciel, któremu oddają swój czas, uwagę i miłość.

To te wyjątkowe pojazdy towarzyszą Im w codziennych podróżach, ale także w najbardziej wyjątkowych momentach życia. Właśnie tę miłość chcemy uczcić w ramach akcji Mistrzowie Motoryzacji. I właśnie dlatego w kategorii Ale Fura! oraz Ale Motor! sprawiliśmy, że drzwi swoich garaży otworzyli szeroko Ci, którzy nie tylko posiadają pojazdy, ale naprawdę nimi żyją.

To też wyjątkowa okazja, by podzielić się historią swojego samochodu czy motocykla z innymi i pokazać światu, dlaczego właśnie ten pojazd jest dla Was tak ważny.

Do naszej redakcji wciąż napływają zdjęcia i opowieści pełne pasji. Każdy pojazd, który znalazł się w naszej galerii, odzwierciedla poświęcenie i oddanie jego właściciela, a także stanowi dumę i inspirację dla całej społeczności pasjonatów motoryzacji. Wśród zgłoszeń znajdują się zarówno klasyczne auta z długą historią, jak i nowoczesne cuda techniki, o które właściciele dbają z miłością godną najszlachetniejszego uczucia. W ramach akcji zanurzymy się głębiej w świat motoryzacji, tworząc specjalny kalendarz na rok 2025, który będzie pełen zdjęć i inspiracji dla wszystkich miłośników pojazdów. Dodatkowo, najbardziej wyjątkowe auta i motocykle, wybrane przez naszych Czytelników, zagoszczą na okładce specjalnego dodatku do gazety, w którym będziemy podsumowywać całą akcję i prezentować Mistrzów Motoryzacji. Dziś przedstawiamy po 12 pojazdów z obu kategorii, które mają szansę trafić na karty kalendarza. To one, jak do tej pory, zdobyły serca naszych Czytelników i największą liczbę głosów. Jednak rywalizacja w akcji nadal trwa i każdy ma szansę na zwycięstwo.

Aktualne wyniki głosowania znajdziesz na:
www.dziennikbaltycki.pl/moto

LIDERZY W KATEGORII ALE FURA!

1. Skoda Octavia 2 rs, 2012, Bogusław Bukowski, Dębnica Kaszubska

2. Volkswagen Golf 3 cabrio, Marcin Grudziński, Gdańsk

3. Jeep XJ, 1990, Sebastian Wójcik, Leźno

4. Pontiac Firebird, 2000, Tomasz Dąbrowski, Mirotki

5. Mitsubishi Pajero, 1995, Krzysztof Matysek, Gdańsk

6. Audi A6, Magda Bank, Gdynia

7. BMW e46, 2001, Alicja Ciskowska, Wejherowo

8. BMW e30 316i kat sedan 4d, 1990, Arkadiusz Jurczyszyn, Dębnica Kaszubska

9. Volkswagen Jetta, 1989, Dawid Feret, Rumia

10. BMW E36 cabrio, 1998, Tomasz Zaskalski, Malbork

11. Syrena 105 L, 1974, Marek Konkel, Pomieczyno

12. VW Caddy, 1986, Marcin Strocen, Gdynia

LIDERZY W KATEGORII ALE MOTOR!

1. Kawasaki vulkan, 1981, Marcin Kustoch, Łebcz

2. Kawasaki zx12r, 2001, Jarosław Wójtowicz, Puck

3. Suzuki vs750G Intruder, 1989, Leszek Białobrzeski, Brzeźno Lęborskie

4. VN2000, 2004, Jacek Bradtke

5. Honda CBR1000RR, Jakub Siutkowski

6. BMW R1200CL, 2002, Arkadiusz Czajka, Gdańsk

7. Yamaha, Super Tenere, 2020, Łukasz Duraj, Gdańsk

9. Suzuki GSX-R, 2003, Karol Miszewski, Debrzno

8. Suzuki, 2001, Mateusz Nieżorawski, Gdańsk

10. Yamaha Mt 09, 2017, Mariusz Chlebowicz, Malbork

11. Honda CBR 600 F2, Mateusz Kępka, Lichnowy

12. Yamaha R1 rn09, 2002, Paweł Zagrobelny, Gdynia

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

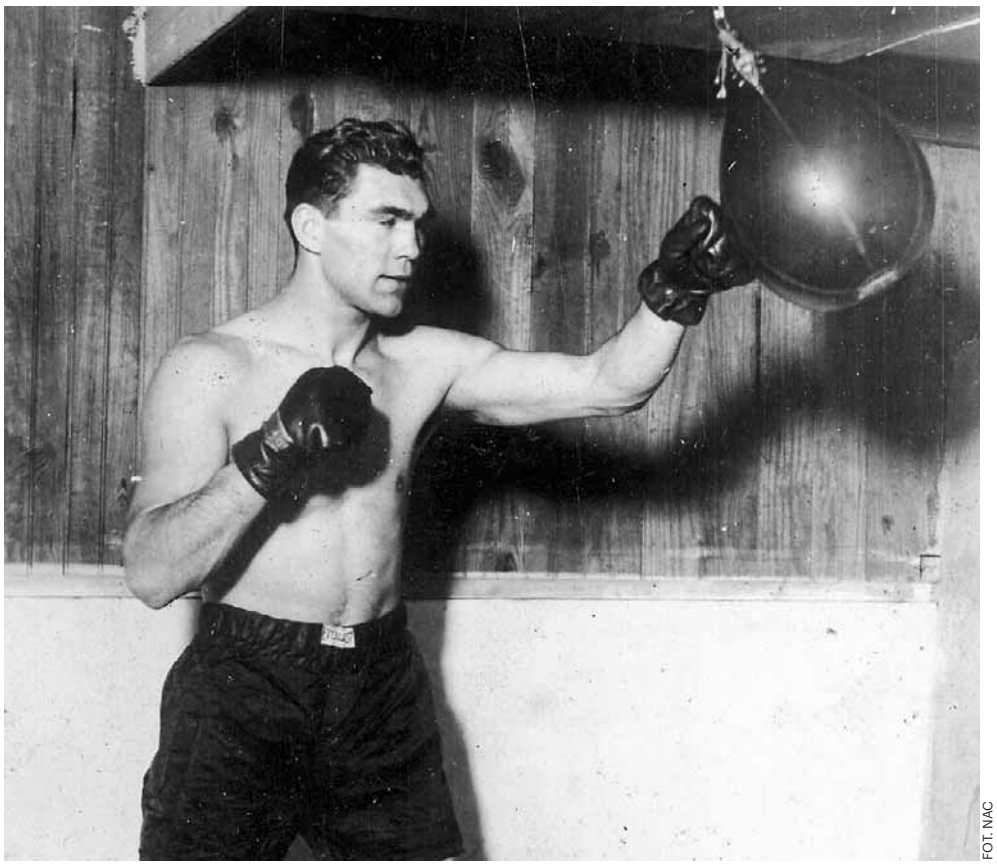

FOT. NAC

Max Schmeling podczas codziennego treningu u szczytu sławy

Legendarny Max Schmeling mieszkał i trenował w niewielkiej wsi na Pomorzu

Legendarny Max Schmeling mieszkał i trenował w malutkiej wsi na Pomorzu. Powstanie tam sala poświęcona słynnemu bokserowi

Andrzej Gurba

Legendarny niemiecki bokser Max Schmeling mieszkał przed wojną w malutkiej Ponikle koło Miastka. W pobliskim lesie ma swoją tablicę pamiątkową. Dwa lata temu pozostałości dawnego majątku kupiła para z południa Polski - Bartłomiej Rak i Katarzyna Młynarczyk. W zachowanym spichlerzu, w którym trenował Max Schmeling, planują urządzić salę pamięci poświęconą bokserowi. Plany są ambitne. Remont zabytkowego, choć zniszczonego, dawnego spichlerza rusza w kwietniu 2024 r.

Max Schmeling uznany za najlepszego niemieckiego sportowca XX wieku, pamiętany jest przede wszystkim z dwóch walk z czarnoskórym amerykańskim bokserem Joe Louisem. Były to w swoim wydźwięku nie tylko sportowe pojedynki.

W pierwszej walce w czerwcu 1936 roku skazywany na porażkę Schmeling pokonał Louisa w dwunastej rundzie przez nokaut. 70-tysięczna publiczność w nowojorskim Yankee Stadium musiała przełknąć gorycz porażki. Do rewanżu doszło w 1938 r. Schmeling przegrał po 124 sekundach walki. Wcześniej, bo w 1930 r., jako pierwszy bokser z Europy, zdobył mistrzostwo świata.

Pierwszy wygrany pojedynek z Joe Louisem nazistowska propaganda próbowała wykorzystać dla swoich celów. W prasie zaczęły pojawiać się zdjęcia boksera z Hitlerem. Max Schmeling znosił to z trudem i niechęcią. Odmówił wstąpienia do NSDAP.

Po drugiej przegranej walce Goebbels zaczął naciskać na boksera, aby pozbył się żydowskiego trenera Joe Jacobsa oraz rozwiódł się z żoną, którą była czeska aktorka (Anna Ondra). Schmeling odmówił. W czasie nocy kryształowej uratował dwóch żydowskich nastolatków, braci Lewinów.

- W 1940 roku Schmeling został powołany do Luftwaffe. Wziął udział w desancie na Kretę, gdzie skakał ze spadochronem. Tego dnia bokser miał dość mocną biegunkę, toteż gdy wylądował, doznał mocnych skurczów żołądka i nie wziął udziału w walce. Oficjalna propaganda ogłosiła informacje o jego ciężkiej ranie, on sam jednak zaprzeczył temu w rozmowie z neutralnymi dziennikarzami, za co Goebbels oskarżał go o defetyzm. Potem Schmeling został przeniesiony do okupowanej Polski, gdzie nakazano mu organizować walki bokserskie między żołnierzami Wehrmachtu i SS - opisuje historyk Łukasz Szkwarek.

6 lipca 1933 roku Max Schmeling wziął ślub z Anną Ondrą. Zamieszkali w wilii Bad Saarow pod Berlinem. W 1937 roku Schmelingowie nabyli majątek Ponikła pod Miastkiem (mieli także domek nad Jeziorem Bobięcińskim, też niedaleko Miastka). Spędzali w Ponikle bardzo dużo czasu. Max Schmeling zajął się hodowlą zwierząt, m.in. jeleni. Oboje aktywnie uczestniczyli w lokalnych wydarzeniach.

Schmelingowie mieszkali w Ponikle do 1945 r. Opuszczając majątek, Max Schmeling wypuścił z zagród wszystkie zwierzęta.

- Po wojnie Max Schmeling stoczył jeszcze kilka walk, po czym zakończył karierę w 1948 roku. Razem z żoną prowadzili fermę norek pod Hamburgiem. Wkrótce potem Schmeling zaczął pracować dla Coca-Coli. Żył w przyjaźni z Joe Louisem, pomagając mu finansowo. Po jego śmierci w 1981 roku opłacił pogrzeb. Anna Ondra zmarła 28 lutego 1987 roku. Jej mąż dożył setki - zmarł w lutym 2005 roku. Ponoć do końca życia interesował się Ponikłą - opisuje Łukasz Szkwarek.

W Ponikle nie ma już pałacu, w którym Schmeling mieszkał. Został zburzony. Można jedynie odnaleźć po nim część fundamentów i fragment schodów. Zachował się za to budynek gospodarczy, w którym niemiecki bokser urządził salę do ćwiczeń. Jest tam jeszcze hak, na którym zawieszane były treningowe worki. To właśnie spichlerz, który remontować będą teraz Bartłomiej Rak i Katarzyna Młynarczyk.

Bartłomiej Rak pochodzi z Krakowa, a Katarzyna Młynarczyk z Bielska. Są przedsiębiorcami, pasjonatami historii i rzemiosła. Trzy lata temu napisali książkę o ludziach, którzy współcześnie parają się klasycznym rzemiosłem.

- Szukaliśmy nowego miejsca dla naszego biznesu i do życia. Sprawdziliśmy kilka lokalizacji. Wybór padł na Ponikłę. Znaczenie miał fakt, że to miejsce ma znaczące odniesienie historyczne - mówi Katarzyna Młynarczyk.

Ziemię w Ponikle kupili dwa lata temu. Po Schmelingu pozostał zniszczony spichlerz, fundamenty jego pałacu, fragment odkopanych schodów.

Jako przedsiębiorcy zajmują się hodowlą pleśni jadalnych. Fermentują nimi niesprzedany chleb. I powstaje z tego białko. W Ponikle planują stworzyć laboratorium, ma też odbywać się niewielka produkcja. Właśnie w spichlerzu, ale poza jednym pomieszczeniem, które przeznaczone jest na salę pamięci o Schmelingu.

Spichlerz jest wpisany do wojewódzkiej ewidencji zabytków. Wymaga dużych nakładów.

- Z remontem startujemy w kwietniu 2024 r. Planujemy odkopać fundamenty, wymienić dach, uratować pękniętą ścianę, wzmocnić piwnicę. Prace powinny potrwać do końca 2024 roku - mówi Bartłomiej Rak.

Sala pamięci Maxa Schmelinga powinna być gotowa na wiosnę 2025 r. Teraz jest też etap zbierania pamiątek o słynnym bokserze i o tym miejscu.

- Na razie mamy niewiele. Zdjęcia, mapy, książki. Interesują nas wszystkie rzeczy, które są związane ze Schmelingiem i tym miejscem. Jeśli są więc osoby, które je mają i zechcą się nimi podzielić, zapraszamy do kontaktu. Szczegóły omówimy w bezpośrednich rozmowach - stwierdza Katarzyna Młynarczyk.

Bartłomiej Rak zdradza, że planują kupić m.in. stary worek bokserski, rękawice, dawne fotele kinowe (jest pomysł projekcji filmów o Schmelingu).

Marzeniem pary (projekt na dziesięć lat) jest odtworzenie majątku Schmelinga w Ponikle. Chodzi o pałac, kuźnię, inne pomieszczenia, alejki spacerowe. Mają pojawić się także dodatkowe obiekty, jak stara szkoła. Prowadzą rozmowy w sprawie kupna i przeniesienia takiego budynku z Turska (też gmina Miastko).

Turyści, szczególnie Niemcy (co oczywiste) cały czas odwiedzają miejsce, gdzie kiedyś mieszkał Max Schmeling. Każde wakacje to kilka aut w tygodniu. Nie brakuje także rodzimych pasjonatów historii. To dobrze wróży inicjatywie stworzenia sali pamięci o słynnym bokserze. I przy okazji jest to promocja dla gminy Miastko.

FOT. ANDRZEJ GURBA

Bartłomiej Rak i Katarzyna Młynarczyk na tle dawnego spichlerza, w którym powstanie sala pamięci poświęcona słynnemu bokserowi

eprasa.pl 4ffdeca71f

MODEL „CZERWONEGO KAPŁANA” NA POLSKIM GRUNCIE

Rozmowa z dr. Janem Hlebowiczem, historykiem gdańskiego IPN, o jego najnowszej książce pt. „Polityka na ambonie” i tzw. księżach patriotach, współpracujących z komunistami w latach 50. XX wieku

Piotr Piotrowski

Księża patrioci... To pojęcie, które kojarzymy pozytywnie i z dobrą działalnością. Ksiądz Skarga, ksiądz Skorupka, bł. ksiądz Popiełuszko. Ci, o których dziś rozmawiamy, raczej nie rysują się jako postaci jednoznacznie patriotyczne. Spróbujmy scharakteryzować tych „patriotów”.

To prawda. Rozmawiając z ludźmi na temat badań, które prowadziłem, bardzo często słyszałem: „to świetnie, że wziął się pan za tych wspaniałych księży, co działali w czasie II wojny światowej”. Musiałem więc prostować, że nie chodzi o kapelanów ZWZ-AK, później podziemia niepodległościowego, ale o grupę duchownych, którzy zdecydowali się na jawną współpracę z komunistycznymi władzami po 1945 r. Inna sprawa, że i w tej grupie bywali kapłani z pięknymi kartami z czasów wojny – kapelani Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie czy kapelani Armii Krajowej. Niestety, po II wojnie światowej – w bardzo różnych i złożonych okolicznościach – byli łamani przez opresyjny system i decydowali się na współpracę z komunistami.

Kto, jak i kiedy wpadł na pomysł stworzenia idei księży „patriotów”?

Nie był to „polski wynalazek”. Wcześniej podobny mechanizm został niejako przećwiczony w Związku Sowieckim, w ramach ruchu Żywej Cerkwi. Należący do niego duchowni prawosławni, nazywani także „czerwonymi kapłanami”, uznali rewolucję październikową za wydarzenie pozytywne, znoszące w Rosji wyzysk i różnice społeczne, oraz zadeklarowali wierność wobec nowego rządu, mimo jego wyraźnie antyreligijnego charakteru. W kolejnych latach bolszewicy, poprzez swoje tajne służby, wykorzystywali ruch Żywej Cerkwi w walce z Kościołem prawosławnym, traktowanym jako największe zagrożenie ideologiczne. W dużej mierze udany proces podporządkowania i rozbicia od wewnątrz Kościoła ewangelickiego przeprowadził też Adolf Hitler w III Rzeszy. W 1932 r. berliński pastor Joachim Hossenfelder utworzył w niemieckim protestantyzmie pronazistowski ruch religijny o nazwie Niemieccy Chrześcijanie. Podobnie jak w bolszewickiej Rosji ruch Żywej Cerkwi rozbił wewnętrznie Kościół prawosławny, tak w III Rzeszy Niemieccy Chrześcijanie doprowadzili do dalekosiężnego zróżnicowania poglądów i postaw członków gmin ewangelickich i duchowieństwa. Hitler instrumentalnie podporządkował sobie, a następnie wykorzystał część pastorów do realizacji własnych zamysłów ideologicznych i politycznych. Charakterystyczne dla obu totalitarnych państw – bolszewickiej Rosji i nazistowskiej III Rzeszy – mechanizmy zdominowania Kościoła przez państwo zostały zastosowane również po zakończeniu II wojny światowej w państwach podporządkowanych ZSRS, w tym również w Polsce.

Zostańmy więc na gruncie polskim. Kto decydował się na taką formę współpracy? Jakie były pobudki tych kapłanów?

Bardzo różne i złożone. Zacznijmy od tego, że księży, którzy decydowali się przystąpić do ruchu „patriotów” z pobudek ideowych, było niewielu. Większość duchownych była do tego zmuszana – szantażami, groźbami, rozmaitymi naciskami. Jak wyglądało to

Dokończenie na str. 10

MATERIAŁ INFORMACYJNY PARTNERA PTWP

0211025094

Wiatr, wodór, a może atom? Czyli o drodze do bezpieczeństwa energetycznego

Transformacja energetyki w krajach Europy Środkowej rodzi szereg pytań, w tym m.in. o współpracę międzynarodową w kontekście odejścia od paliw z Rosji, zachowania suwerenności i bezpieczeństwa. Jak regulacje UE wpływają na procesy transformacyjne? Jaka jest tu rola nowoczesnej infrastruktury? I na czym opierać się będzie bezpieczeństwo energetyczne w przyszłości? Energetyka to jeden z tematów wiodących tegorocznego Europejskiego Kongresu Gospodarczego (EEC – European Economic Congress, 7-9 maja 2024 r., Katowice).

Na transformację energetyki kongres spojrzy wielowymiarowo, analizując sytuację ogólnoświatową, Europy oraz Polski. Wiele miejsca poświęci odnawialnym źródłom energii, ale też perspektywom węgla kamiennego i wyzwaniom dla przemysłu, jakie wiążą się z koniecznością przechodzenia na zieloną stronę mocy. Zada pytania o skalę, zakres i kierunki najważniejszych inwestycji w energetyce wytwórczej i infrastrukturze: w Polsce, w regionie, w UE.

Polski rynek energii – bezpieczeństwo po kryzysie

Kongres, w kontekście niedawnego kryzysu energetycznego, zastanowi się nad interwencjami państwa na rynku energii elektrycznej, rozpatrując je na kontinuum: nadmiarowe czy trafione? Analizie podda rolę administracji, spółek Skarbu Państwa i sektora prywatnego. W perspektywie kolejnych lat – ile państwa powinno być obecne na rynku energii? Czego potrzebujemy dla bezpieczeństwa energetycznego? I jakie jest znaczenie mechanizmów rynkowych dla transformacji, zmiany miksu energii, motywacji inwestorów? Czego oczekują biznes i inwestorzy, by mocniej zaangażować się w transformację sektora energii? Jakich magazynów energii potrzebujemy w Polsce? Warto poznać odpowiedzi na te pytania, a okazja do tego będzie już w maju w Katowicach.

Przemysł wobec wyzwań transformacji energetycznej

Perspektywy sektora węgla kamiennego w Polsce to jeden z najbardziej dyskutowanych tematów, zwłaszcza w sercu Śląska, w którym od 16 lat odbywa się kongres. Wygaszanie kopalni, ale jak i kiedy? Jak długo węgiel będzie gwarantem stabilności systemu? Pod jakimi warunkami utrzymywać i rozwijać moce wydobywcze? Co z blokami węglowymi w energetyce? NABE: czy tak, czy nie, czy inaczej? Obok tych tematów – nie zabraknie pytań o sytuację firm przemysłowych na zmieniającym się rynku energii.

Atom i wodór w centrum

Co wiemy o wielkoskalowej energetyce jądrowej w Polsce, a co wciąż budzi wątpliwości? W Katowicach uwaga zogniskuje się m.in. na energetyce jądrowej, pod lupę wzięte zostaną również koszty polskiego programu atomowego i ceny energii – na ile konkurencyjne będą? Czy mamy wykonawców i dostawców technologii, a przede wszystkim – konieczne kompetencje w tym obszarze? A może paliwem transformacji i remedium na kryzys klimatyczny i energetyczny powinien być wodór? Czy rozwój gospodarki wodorowej nadąża za tymi ambicjami? Co już udało się zrealizować, a czego potrzebuje branża? Wodór bardzo kusi chociażby miasta, w obszarze transportu publicznego, mieszkalnictwa czy ciepłownictwa – tego wątku z pewnością nie zabraknie w dyskusjach o bezpieczeństwie i transformacji energetycznej.

Energetyka wiatrowa szansą na przełom?

Rola zielonych źródeł i technologii w obecnej i przyszłej architekturze bezpieczeństwa energetycznego Polski będzie jednym z głównych przyczynków do dyskusji o transformacji energetycznej. Dyskutanci zastanowią się, czy są szanse na stabilizację warunków rozwoju energetyki wiatrowej na lądzie oraz czy offshore to realna konkurencja w dostępie do środków na inwestycje. Przeanalizują, jaki jest stan zaawansowania przygotowań do budowy morskich farm wiatrowych, jakie będą koszty planowanych inwestycji i cena energii z morskich farm. Pod dyskusję poddany zostanie możliwy local content w inwestycjach w offshore na Bałtyku.

Biogaz i biomasa, czyli potencjał rolnictwa

Rolnictwo jako branża i obszar z potencjałem dla rozwoju energetyki odnawialnej również stanie się tematem kongresowych sesji, czy to pod kątem terenów rolnych dogodnych dla inwestycji wiatrowych i fotowoltaiki wielkoskalowej, czy też współpracy inwestorów w sektorze OZE z podmiotami branży rolniczej. Biogazownie przytoczone zostaną jako stabilne lokalne źródło ciepła i energii oraz krok w kierunku uniezależnienia obszarów wiejskich od zewnętrznych dostawców energii, przeanalizowany zostanie także potencjał biomasy rolnej. Swoje miejsce w kongresowych dyskusjach zajmie także zapotrzebowanie na energię cieplną i elektryczną na terenach wiejskich.

Swój udział w debatach potwierdzili już m in. Barbara Adamska, prezes zarządu Polskiego Stowarzyszenia Magazynowania Energii, Mirosław Bendzera, prezes zarządu FAMUR, Magdalena Bezulska, prezes zarządu, dyrektor generalny Veolia term, Jarosław Bogacz, wiceprezes zarządu KENO Energy, Alicja Chilińska-Zawadzka, CEO EDF Renewables w Polsce, Marzena Czarnecka, minister przemysłu, Janusz Gajowiecki, prezes zarządu Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej, Rafał Gawin, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, Sebastian Jabłoński, prezes Grupy Kapitałowej Respect Energy.

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

PRAWDA O KSIĘŻACH „PATRIOTACH”

Dokończenie ze str. 9

w praktyce? Komunistyczny aparat represji gromadził różnego rodzaju tzw. kompromaty, czyli materiały kompromitujące, na danego księdza. Zakres tego, co uznawano za kompromat, był bardzo szeroki. Mógł być to udział duchownego w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych, zapis na Niemieckiej Liście Narodowościowej, ale także problemy natury moralnej – utrzymywanie intymnych relacji z kobietami, rzadziej, choć także z mężczyznami, czy alkoholizm i związane z nałogiem rozmaite ekscesy. Do takiego księdza przychodził funkcjonariusz UB albo pracownik administracji wyznaniowej, który straszył: „jeśli nie zaczniesz współpracować, pójdziesz siedzieć za swoją działalność z okresu II wojny światowej. A czy z więzienia wyjdziesz? Zobaczymy”. Albo: „wiemy, że byłeś na volksliście. Chcesz, by twoi parafianie dowiedzieli się, że kolaborowałeś z niemieckim okupantem? Lepiej zapisz się do patriotów”. I, mimo że w wielu wypadkach o żadnej kolaboracji z nazistami nie było mowy, dany ksiądz ulegał presji z lęku przed tym, jak zostanie odebrany przez parafian. Dodajmy też, że organizacja zrzeszająca księży „patriotów”, czyli na poziomie ogólnopolskim Główna Komisja Księży, a na poziomie lokalnym Okręgowe Komisje Księży, przyciągały do siebie różnymi „bonusami”. Kapłan, który zapisał się do organizacji, mógł liczyć na rozmaite zapomogi, dostęp do lekarstw, darmowe pobyty w domach wypoczynkowych, odznaczenia państwowe. Dla duchownych, którzy wyszli z II wojny światowej zniszczeni psychicznie i fizycznie – na przykład byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, a takich też w szeregach „patriotów” było niemało – obietnica dostępu do leków stanowiła poważny argument „za”.

FOT. ARCH. PRYWATNE

Dr Jan Hlebowicz: Cała aktywność księży „patriotów” podporządkowana była ściśle władzom państwowym

Poproszę o kilka przykładów szkodliwej działalności „patriotów”. A może dostrzega pan także coś pozytywnego w ich działaniach?

Cała aktywność księży „patriotów” podporządkowana była ściśle władzom państwowym i aparatowi bezpieczeństwa. Jeśli trzeba było głosić, że kolektywizacja rolnictwa jest potrzebna, „patrioci” to głosili. Jeśli trzeba było uderzyć w prymasa Wyszyńskiego, „patrioci” to robili. Jeśli pojawiała się potrzeba zaatakowania Watykanu, „patrioci” byli na to gotowi. I tego typu „litanię przewin” można byłoby mnożyć, dodając również aktywny udział duchownych „reżimowych” w werbowaniu do Komisji Księży, czyli de facto łamaniu kręgosłupów moralnych innych współbraci w kapłaństwie. Czy dostrzegam jakąkolwiek działalność pozytywną? Jeśli taka miała miejsce, to raczej mimochodem. Mianowicie pewnym sposobem przyciągania do Komisji Księży było udzielanie przez nią wsparcia kapłanom – niezwiązanym z ruchem, w sytuacji represji wymierzonych przez władze państwowe lub UB w postaci zatrzymania, aresztu oraz groźby procesu lub więzienia. Mówiąc prościej, dany ksiądz zostawał zatrzymany. Następnie księża „patrioci” interweniowali u władz albo UB i duchowny – pod wpływem takiej interwencji – wychodził na wolność. Oczywiście księża „patrioci” oczekiwali w zamian, że ów kapłan, w ramach spłaty długu wdzięczności, przystąpi do organizacji. Jeśli tego nie robił, próbowano go szantażować. Także groźbą ponownego zatrzymania. Widzimy więc, że intencje te nie były całkiem czyste. Natomiast faktem jest, że dzięki tego typu zaangażowaniu Komisji Księży na wolność wyszedł m.in. ks. Hilary Jastak. Ale także inni duchowni: ks. Józef Miszewski, ks. Arnold Goetze, ks. Feliks Ożga, ks. Konrad Lubiński.

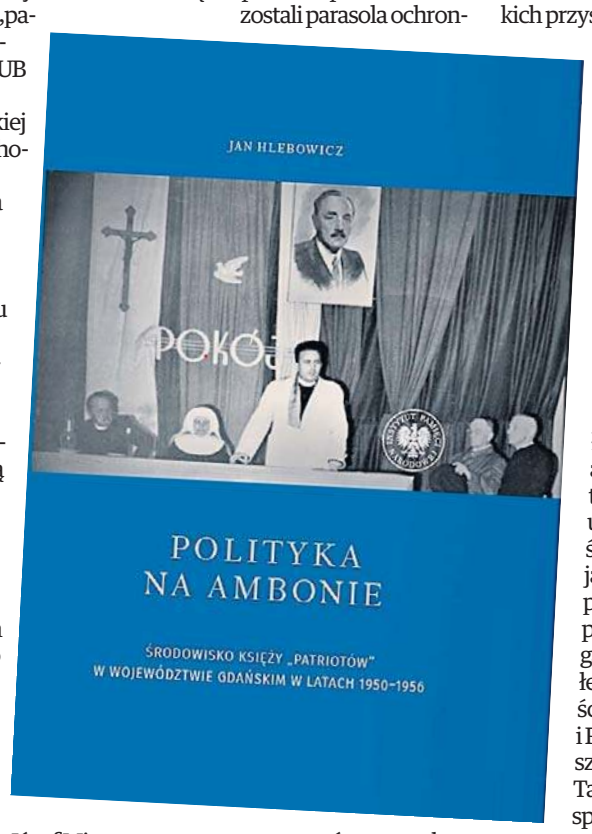

Czy Kościół rozliczył działalność księży „patriotów”?

Wydaje mi się, że ruch księży „patriotów” nie obciąża instytucji Kościoła, raczej część duchowieństwa, która uległa presji i zdecydowała się współpracować z komunistami po 1945 r. Sam prymas Wyszyński wielokrotnie, oficjalnie, przestrzegał innych kapłanów przed księżmi „patriotami”. Jako współtwórca katolickiej myśli społecznej negował ich „obywatelskie” zaangażowanie wskazując, że jest to postawa fałszywa, niegodna katolickiego kapłana, ponieważ opiera się na idei walki klas. Miał również pretensje do moralnej postawy niektórych przedstawicieli środowiska księży „patriotów”. Trzeba też wyraźnie podkreślić, że do pewnego, choć niepełnego „rozliczenia” działalności duchownych „reżimowych” doszło na fali tzw. październikowej odwilży w 1956 r. Księża „patrioci” pozbawieni zostali parasola ochronnego ze strony państwowych czynników. Nierzadko zmuszani byli przez rządców diecezji do przedwczesnego przechodzenia na emerytury, część opuszczała kraj, inni zrzucali sutanny. Ruch duchownych „postępowych” odrodził się dopiero w 1959 r. w ramach Kół Księży „Caritas” przy Zrzeszeniu Katolików „Caritas”. Jednak organizacja ta nigdy nie miała takiego wpływu na duchowieństwo i społeczeństwo jak jej poprzedniczki z lat 1949-1956.

Jaka jest pańska oraz Instytutu Pamięci Narodowej rola w „rozliczaniu” tej niechlubnej karty katolickiego duchowieństwa?

Zadaniem historyka, naukowca, w tym także pracownika IPN, jest mierzenie się z trudnymi, złożonymi sprawami z przeszłości i ukazywanie ich w szerokiej perspektywie.
Od samego początku zależało mi, by być maksymalnie uczciwym w przedstawieniu grupy księży „patriotów”, ukazując ją na tle trudnych czasów, w jakich przyszło im żyć i dokonywać wyborów. Moja książka nie jest czarno-białym zapisem. Czytelnik znajdzie w niej całe mnóstwo różnych odcieni szarości.

Czy Kościół katolicki odniósł się w jakiś sposób do pańskiej publikacji?

W trakcie badań – ze strony przedstawicieli Kościoła – słyszałem raczej słowa aprobaty dla podjętego wyzwania naukowego. W większości były to głosy uznające – podobnie jak ja – potrzebę gruntownego przebadania tego zagadnienia. Korzystałem też z archiwów kościelnych – w Gdańsku i Pelplinie oraz w poszczególnych parafiach. Także w tym wymiarze spotykałem się z otwartością i życzliwością.
To, co może wywołać pewne kontrowersje, to fakt, że część opisywanych w książce duchownych do dzisiaj uznawana jest przez swoich parafian za świetnych duszpasterzy, dynamicznych organizatorów, skutecznych budowniczych kościołów.
I tak rzeczywiście było. Jednak lokalne społeczności często nie zdawały sobie, a właściwie wciąż nie zdają, sprawy z drugiego oblicza swoich duszpasterzy – oblicza współpracowników komunistycznego reżimu. Być może po lekturze książki wielu parafian będzie musiało zmierzyć się z trudną prawdą o kapłanach, których dotychczas znali wyłącznie z jednej – tej pozytywnej – strony.

©℗

CV

Jan Hlebowicz (ur. 1988) – historyk, publicysta, doktor nauk humanistycznych, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku.

Autor i współautor książek historycznych, w tym wyróżnionej w ogólnopolskim Konkursie im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku „Niepokorni z Topolówki” oraz najnowszej „Polityka na ambonie. Środowisko księży »patriotów« w województwie gdańskim w latach 1950-1956”. Autor wystaw oraz artykułów naukowych i popularnonaukowych poświęconych najnowszej historii Polski. Zainteresowania badawcze: polityka wyznaniowa PRL, dzieje Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce Ludowej, historia parapsychologii i lecznictwa niemedycznego w PRL oraz niezależna działalność młodzieży w okresie 1968-1990. Z częścią publikacji autora można zapoznać się tutaj: https://ipn-pl.academia.edu/JanHlebowicz

REKLAMA 0011057170

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

WYKAZ

Dyrektor Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni

działając zgodnie z art. 35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2023 r. poz. 344 z późn. zm.)

informuje, że

na tablicy ogłoszeń w siedzibie OReg AMW w Gdyni (tablica ogłoszeń na I piętrze), został wywieszony oraz opublikowany na stronie Agencji www.amw.com.pl, WYKAZ dotyczący nieruchomości przeznaczonej do **sprzedaży w trybie bezprzetargowym na rzecz właścicieli lokali mieszkalnych, znajdujących się w budynku przy ul. Grottgera 18A, 18B, w Gdańsku w wyniku realizacji roszczeń wniesionych na podstawie art. 209a ust. 1 ustawy o gospodarce nieruchomościami,** stanowiącej nieruchomość gruntową niezabudowaną oznaczoną geodezyjnie jako działka nr 224/8 o pow. 0,1725ha, obręb 012, położonej w Gdańsku przy ul. Grottgera, zapisanej w księdze wieczystej GD1G/00077409/0.

Wykaz wywieszono na okres od dnia 5.04.2024 r. do dnia 26.04.2024 r.

Osobom, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu ww. nieruchomości - zgodnie z przepisami art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gosp. (t.j. Dz.U. z 2023 r. poz. 344 z późn. zm.) termin do złożenia wniosku upływa z dniem 17.05.2024 r.

Informacje na temat nieruchomości można uzyskać w siedzibie OReg AMW w Gdyni przy ul. M. Curie – Skłodowskiej 19 (pok. 104) tel. (058) 690 - 87 – 22.

WYKAZ WYKAZ WYKAZ WYKAZ

eprasa.pl 4ffdeca71f

Człowiek, jak upadnie, może spróbować wstać

Szorował po życiowym dnie. Jego los mozna uznać za klasyczny przykład tego, jak łatwo znaleźć się na ścieżce, na kórej niewiele - a w zasadzie nic - w życiu się nie liczy. Człowiek jak upadnie, może leżeć. Ale może też spróbować wstać...

Andrzej Gurba

Łukasz Barszcz ma dzisiaj 33 lata. Dobrze wygląda, jest elokwentny. Sprawia wrażenie pewnego siebie - choć to może być nieco mylące. W czasie spotkania przyznał, że na początku stresował się rozmową. Nigdy wcześniej nie otwierał się przed dziennikarzem opowiadając szczerze o ciemnych stronach swojego życia. A na szczerość umówiliśmy na samym początku. Łukasz był (jest) narkomanem.

Urodził się w Pruszkowie. Mieszkał w okolicy tego miasta. Skończył liceum, zdał maturę. Większość swojego życia przepracował w magazynach. Ma także certyfikat sprzedawcy. Kilka lat temu, już na ścieżce wychodzenia z narkotycznego transu, swój los związał z Pomorzem, a konkretnie z Miastkiem i Chrześcijańską Misją Społeczną Teen Challenge. Korzystał z ich terapii, a obecnie z zawodowego stażu.

Kiepskie relacje z rodzicami, nastoletni bunt i coś jeszcze...

Pamięta, że jako bardzo młody człowiek nie miał dobrych relacji z rodzicami. Jak mówi, nie wynikało to tylko z powszechnego nastoletniego buntu w okresie dojrzewania.

- Widzę to tak: miałem wobec rodziców pewne oczekiwania, o których jednak wtedy nie umiałem im powiedzieć. A jak już umiałem, to rodzice nie znajdowali czasu, bo dużo pracowali, byli zajęci. Nie otrzymywałem od nich wsparcia. Takiego, jak ja je rozumiem i jakiego oczekiwałem: rozmów o wszystkim i niczym, bliskości, zrozumienia moich młodzieńczych problemów, mojej młodzieńczej perspektywy. Rodzice uważali, że skoro zapewniają mi warunki bytowe - łóżko, jedzenie, ubiór - to wszystko jest OK. Ode mnie oczekiwali sumiennej nauki. Czyli taki standard - mówi Łukasz.

Dzisiaj już nie do końca obarcza rodziców za to, na jakim życiowym zakręcie kiedyś się znalazł. Prawda jest też taka, że z upływem czasu zacierają się fakty, blakną wspomnienia, zmieniają się interpretacje.

- To nie jest tak, że to tylko wina rodziców, że zszedłem na złą ścieżkę. Zaważyła moja osobowość, niedojrzałość emocjonalna. Podchodziłem do życia marzeniowo. Słabo orientowałem się, jak buduje się relacje z ludźmi. Inna sprawa, że tej kwestii rodzice niewiele mi pomogli. Ojciec mówił, że w domu rządzi facet, ten który przynosi do domu więcej pieniędzy. Próbował zaszczepić mi postawę macho. Ja jednak miałem inną wrażliwość. Może i on to widział, ale wtedy zakopał moją osobowość - wspomina Łukasz.

Czy szukał wsparcia w innym miejscu, u innych ludzi? Odpowiada, że nie.

- Nie byłem osobą, która wszystkim dookoła opowiadała o swoich kłopotach. Dusiłem to w sobie. Z zewnątrz zapewne wyglądałem na zwyklego bezproblemowego gościa - stwierdza.

Łukasz ma 8-letniego syna. Jego mamę poznał w wieku 20 lat. Ciepło wspomina rodzinę swojej byłej już partnerki. Jak mówi, wtedy dostał tam to, czego nie otrzymał w rodzinnym domu A więc zainteresowanie, zrozumienie.

Kilkuletni czas, jeszcze przed urodzeniem dziecka, to był okres w dużej mierze beztroski. Czas imprez, wyjazdów, tzw. korzystania z życia. To nie były jeszcze narkotyki (Łukasz), choć był alkohol.

Zdarzało się, że miedzy Łukaszem, a jego dziewczyną dochodziło do nieporozumień.

- Wyszedł brak mojej umiejętności budowania relacji, niedojrzałość emocjonalna, nieradzenie sobie ze stresem. Pojawiła się zazdrość. Były problemy w komunikacji. Z obu stron - ocenia.

Rozstali się. Rodzice przygarnęli Łukasza, ale czuł się u nich, jak na wynajętej stancji. Wypominali mu ten nieudany związek (nigdy nie akceptowali jego partnerki), jak i rozstanie z nią.

Wtedy nasz rozmówca poszedł w inny świat. Poznał nowych ludzi, miał nowe zajęcia. W weekendy (w dni robocze pracował w magazynie) odbierał z nowymi znajomymi przepalony olej z restauracji.

Dokończenie na str. 12

REKLAMA 0011055678

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

BEZ DOBRYCH RELACJI I WSPARCIA NIC SIĘ NIE UDA...

FOT. ANDRZEJ GURBA

Łukasz Barszcz: Kiedyś myślałem, że jak kocham Boga, Bóg mnie kocha, to ludzie nie są mi do niczego potrzebni. Totalna bzdura...

Dokończenieze str. 11

- Cały czas czułem jakiś smutek. Ucieczka w pracę niewiele mi dawała - oznajmia Łukasz.

Kokaina w warsztacie samochodowym. To był pierwszy raz

W wieku 24 lat. Łukasz odwiedził znajomych w warsztacie samochodowym. Była tam kokaina.

- Zapytali, czy wezmę z nimi. Na początku powiedziałem, że nie. A oni - „dawaj, fajnie będzie". Potem usłyszałem, żebym nie był frajerem. I to przeważyło - wziąłem. To był listopad. Kolejny raz wziąłem w grudniu, w święta. Mieszałem z akoholem. Potem w sylwestra. Powiedziałem wtedy sobie i kolegom - jaki Nowy Rok, taki cały rok. I trzy czy cztery miesiące później wylądowałem w pierwszym ośrodku - wspomina Łukasz.

Na początku nie było codziennego brania, ale było codzienne wyczekiwanie weekendu, który był nagrodą.

- Działo się standardowo. Wziąłem, odpłynęły problemy. Czułem, że mogę przenosić góry, że świat leży u moich stóp. Cieszyłem się, że nie jestem smutny, że mam tyle marzeń i pomysłów. Nawet, jak narkotyki przestały działać, to nakręcała mnie myśl, że za kilka dni znowu jest weekend - opowiada Łukasz.

Przyszły pierwsze narkotyczne ciągi. Łukasz zapomniał, że ma iść do pracy. Wtedy jego rodzice dowiedzieli się, że bierze narkotyki. Od jego brata, który wiedział wcześniej.

- Przyznałem się. Wtedy poza kokainą, brałem amfetaminę, mefedron, jakieś kryształy. Z dostępem nie było problemu. Kupowałem przez internet. Z czasem potrzebowałem więcej, a więc przerzuciłem się na tańsze specyfiki. To były głównie dopalacze. Miesięcznie na narkotyki wydawałem wtedy prawie całą swoją wypłatę (kilka tysięcy złotych - dop. redakcji). - stwierdza.

Trafił do ośrodka Monaru pod Zgierzem. Miejsce wybrali (znaleźli) jego rodzice.

- W ośrodku stwierdziłem, że to fajne wakacje. Czułem, że jestem lepszym narkomanem, mniej zniszczonym. Wszedłem w układy z innymi. Narkotyków nie braliśmy, ale notorycznie łamaliśmy regulamin. Po miesiącu zostałem usunięty razem z innymi osobami (Łukaszowi zaproponowano inny ośrodek, ale nie skorzystał - red.) Jako że miałem wpływy na konto ze zwolnienia lekarskieo z zakładu pracy, za moje pieniądze pojechaliśmy wszyscy do Łowicza. Balowaliśmy tam tydzień. Królowały dopalacze - wspomina.

I znowu Łukasz wrócił do domu. Rodzice znowu go przyjęli. Wrócił też do pracy. Tam już wiedzieli, że bierze. Współpracownicy zwracali się do Łukasza - „kryształek", „diamencik". Mówili, że „może po nosku sobie trzaśnie"...

Później był kolejny ośrodek. Łukasz przebywał w nim pół roku i przeszedł zaplanowaną terapię. Wrócił na stare śmieci. Rodzice myśleli, że jest wyleczony.

Powrót do starego środowiska, czyli do starych emocji

- To tak nie działa. Terapeuci mówili mi, aby nie wracać do starego środowiska, czyli tam, gdzie są stare emocje. Poza tym, moi rodzice też powinni iść na terapię, ale dla współuzależnionych. Oni tego nie rozumieli. Słyszałem, że to tylko mój problem, że mam chorą głowę - mówi Łukasz. Wtedy chłopak wprowadził się do domu mamy swojej partnerki, z którą odnowił kontakt. Z czasem okazało się, że narkotyki wygrały z dobrem jego syna. I tak zakończył się odnowiony związek.

Potem było już tylko codzienne „grzanie". Łukasz stracił pracę, nabrał pożyczek. I w końcu wylądował na ulicy w Warszawie (rodzice nie chcieli już aby z nimi mieszkał, obawiając się zajęć komorniczych). Spał w noclegowniach, schroniskach. W narkotycznym widzie miał przebłyski, aby iść do ośrodka, ale tylko po to, aby trochę odpocząć od ulicy.

Cztery lata temu chciał odejść z tego świata

- Kupiłem narkotyki za tysiąc złotych - opowiada Łukasz. - Wynająłem pokój w hotelu z zamiarem, aby się w nim wykończyć. Po kilku dniach „grzania" byłem sparaliżowany. Nie mogłem się ruszyć, sikałem pod siebie. W majakach całe życie mi przeleciało przed oczyma. Zacząłem płakać. Nie wiem, jak to się stało, ale spojrzałem na bliskich z miłością, pojawił się też Bóg. To dziwne, bo dotąd nie byłem religijny. I powiedziałem sobie, że jeśli to możliwe, to nie chcę umierać. No i nie umarłem. Narkotyki spuściłem w toalecie.

Kiedy Bóg przyszedł do Łukasza, ten poczuł się lepiej, ale wciąż toczył walkę, którą przegrywał...

Trafił do kolejnego ośrodka. Usłyszał radę: „Łukasz, fajnie że jest Bóg, ale musisz kolejną terapią skończyć. Musisz przepracować swoje życie, jeszcze bardziej poznać siebie".

To był chrześcijański ośrodek dla bezdomnych z terapią opartą o wartości biblijne. Tam Łukasz spotkał Marka, który opowiedział mu o Chrześcijańskiej Misji Społecznej Teen Challenge.

W 2021 r. przyjechał do ośrodka Teen Challenge w Łękini na Pomorzu.

- Przez pierwsze dwa miesiące nauczyłem się nie spóźniać na zajęcia i przytyłem dwa kilogramy. Słyszałem, że coś tam przepracowałem, ale ja nie miałem tej świadomości - wspomina nasz rozmówca. - Potem poszedłem na roczną pogłębioną terapię do Broczyny (gm. Trzebielino, woj. pomorskie, także ośrodek Teen Challenge - red.). Pamiętam, że byłem wycofany. Bałem się odpowiedzialności nawet za małe rzeczy, nie chciałem wypowiadać się na grupach. Historie innych ludzi mnie przytłaczały, wplątywały się w moje życie.

Łukasz zdradza, że w dwóch ostatnich miesiącach rocznej terapii poczuł stabilność. Zrozumiał, że izolacja, brak otwarcia na innych ludzi, do niczego dobrego nie prowadzą. Ludzie potrzebni mu też byli, aby zobaczył w sobie to, co musi przepracować.

- Kiedyś myślałem, że jak kocham Boga, Bóg mnie kocha, to ludzie nie są mi do niczego potrzebni. Totalna bzdura. Teraz wiem, że w samotności, bez wsparcia, bez dobrych relacji, nie uda się. Bo wtedy do człowieka przychodzą dziwne pomysły, ma skrzywiony obraz świata. W Broczynie byliśmy wzajemnie dla siebie terapeutami - mówi.

Po terapii w Broczynie Łukasz zamieszkał w hostelu Teen Challenge w Miastku. Pracował dorywczo, teraz ma staż biurowy.

Jest aktywny. Biega i tańczy. Chce w Miastku zorganizować kurs tańca nowoczesnego. Izoluje się od miejsc, w których jest zło. A więc tam gdzie są m.in. narkotyki. No i otworzył się na swoją mamę i na swojego syna. Jak mówi, ma dobre relacje, także ze swoją byłą partnerką. ©℗

WARTO WIEDZIEĆ

Według „Raportu o stanie narkomanii w Polsce 2020" Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom aż 5,4 procent populacji Polaków w wieku 15-64 lat używa narkotyków, a najwyższy odsetek obserwuje się u młodzieży i dorosłych w wieku 15-34 lat.

Uzależnienie od narkotyków prowadzi do ogólnego wyniszczenia organizmu – chorób psychicznych, somatycznych, a nawet do śmierci. Działanie narkotyków ma także wpływ na funkcjonowanie życia rodzinnego, środowiskowego oraz społecznego - prowadzi często do wykluczenia społecznego.

Najbardziej popularne i silnie uzależniające obecnie narkotyki na rynku to: marihuana, amfetamina, kokaina, LSD, heroina.

W dzisiejszych czasach zdobywanie środków psychoaktywnych nie jest trudne, i niestety młodzi ludzie coraz częściej po nie sięgają.

Przyczyn jest kilka. To m.in.:

- poczucie odrzucenia przez rówieśników, ale także nauczycieli, zwłaszcza kiedy dziecko sprawia problemy wychowawcze, wymaga aby poświęcono mu więcej troski i uwagi, odczuwa brak akceptacji,
- strach przed byciem outsiderem w grupie rówieśniczej,
- trudny okres dojrzewania, gdzie świat ideałów nastolatka zderza się z realnością, młody człowiek często ma poczucie niemocy, zagubienia,
- ucieczka przed problemami, odpowiedzialnością,
- przeciążenie nauką, chęć sprostania wysokim wymaganiom rodziny, szkoły,
- ciekawość,
- niewielki lub całkowity brak wiedzy na temat skutków brania narkotyków.

Dorośli najczęściej używają narkotyków, ponieważ:

- pojawiają się problemy w rodzinie, w relacjach z partnerem/partnerką,
- ulegają wpływom rówieśników – chęć przynależenia do grupy,
- pragną osiągnąć jak najlepsze wyniki np. w pracy usiłując nadążyć za resztą otoczenia.

Jak chronić dzieci przed uzależnieniami od środków psychoaktywnych?

Nie ma gwarancji, ani recepty na to, że dziecko nie sięgnie po narkotyki, ale warto działać, rozmawiać, uświadamiać czym są narkotyki i jak są groźne. Mając świadomość, że na uzależnienie najbardziej podatne są osoby, które mają niską samoocenę, zaburzony system wartości, niezaspokojone podstawowe potrzeby, należy budować w dziecku poczucie akceptacji, dbać o dobre wzajemne relacje, być blisko. U dziecka, które jest kochane, czuje się bezpieczne, u którego podstawowe potrzeby zostały zaopiekowane, zauważa się mniejsze ryzyko, że zacznie używać substancji psychoaktywnych.

eprasa.pl 4ffdeca71f

ZAKAZ POŁOWU - SPOSÓB NA BAŁTYCKIE DORSZE

Rośnie liczebność dorszy bałtyckich po czterech latach od wprowadzenia całkowitego zakazu połowu tego gatunku. Jednak perspektywa wznowienia komercyjnych połowów jest jeszcze daleka

Tomasz Chudzyński

W 2023 roku obserwowaliśmy trzykrotny wzrost liczebności małych dorszy w polskich obszarach morskich, a badania w czasie ostatniego rejsu, który przeprowadziliśmy w lutym bieżącego roku, pokazały, że wzrost liczebności jest aż sześciokrotny. Zakaz połowu przynosi zatem pozytywny skutek - mówi dr Krzysztof Radtke, ichtiolog Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni.

Ponad cztery lata temu, 1 stycznia 2020 r. wszedł w życie całkowity zakaz połowu dorsza w Bałtyku. Czy po tym okresie widać zauważalne zmiany w stadach tego gatunku ryb, będących jeszcze dwie dekady temu jednym z podstawowych dla polskiego, bałtyckiego rybołówstwa? Czy zakaz przysłużył się bałtyckiemu dorszowi?
Badania prowadzone w ramach rejsów badawczych, które kraje nadbałtyckie realizują dwa razy do roku, wykazały wzrost liczebności małych dorszy. Mówimy o rybach o długości 20-30 cm. O ile w latach 2021 - 2022 liczebność ta była porównywalna o niedużej wielkości, tak w roku 2023 wystąpił znaczący wzrost. Dorsze urodziły się na zachód od wyspy Bornholm. Ze względu na ich znaczną liczebność zasilają południową część Morza Bałtyckiego, także część na wschód od Bornholmu. W 2023 roku obserwowaliśmy trzykrotny wzrost liczebności małych dorszy w polskich obszarach morskich, a badania w czasie ostatniego rejsu, który przeprowadziliśmy w lutym bieżącego roku, pokazały, że wzrost liczebności jest aż sześciokrotny. Zatem ochrona dorszy najprawdopodobniej ochroniła też część stada rozrodczego, które wydało znacznie liczniejsze pokolenie dorszy. Widzimy zatem, że obostrzenia połowowe przyniosły pozytywny skutek. Jeśli młode dorsze będą miały wystarczające warunki do wzrostu, wówczas będziemy mogli liczyć, że w perspektywie kilku najbliższych lat może nastąpić wzrost tzw. biomasy stada rozrodczego. Od wielkości tej biomasy uzależnione są decyzje dotyczące połowów komercyjnych.

Jest szansa, że taki wzrost biomasy nastąpi? Przed wprowadzeniem zakazu słyszeliśmy, że dorsza bałtyckiego nie tylko brakuje, ale część odłowionych okazów była np. zdeformowana, co miało być także konsekwencją braku pokarmu. Jak wygląda kondycja ryb obecnie, młodych, które pojawiły się już po wprowadzeniu obostrzeń?
Dorsze, które występują w strefie wód przybrzeżnych, do głębokości 40 metrów, charakteryzują się lepszą kondycją, głównie ze względu na korzystniejsze warunki do żerowania wynikające z obecności skorupiaków i ryb dobijakowatych. W wodach otwartego morza na większej głębokości, gdzie przy dnie występują niekorzystne warunki tlenowe, nie stwierdza się także skorupiaków, pokarmu, który jest łatwą zdobyczą dla dorszy. Zatem w wodach otwartych pozostaje dorszom żerowanie głównie na rybach śledziowatych, których upolowanie wymaga znacznie większego nakładu energii. W kontekście możliwej poprawy kondycji dorszy jest dobra wiadomość. W grudniu 2023 roku nastąpił wlew wód Morza Północnego do Bałtyku. Zazwyczaj takie zjawisko stwarza korzystniejsze warunki do bytowania dorszy w głębszych strefach Bałtyku, m.in. poprzez ich natlenienie i zwiększenie zasolenia. W takich warunkach hydrologicznych może także zwiększyć się występowanie skorupiaków w strefie głębszych wód, dzięki czemu młodociane dorsze miałyby lepsze warunki do wzrostu.

Zakaz połowu dorsza bałtyckiego został utrzymany?
Nadal obowiązuje całkowity zakaz ukierunkowanych połowów ryb tego gatunku. Jest zgoda tylko na niewielki przyłów dorszy w łodziowym rybołówstwie przybrzeżnym, odławiającym stornie. Dopuszcza się do 10 proc. masy połowu dorszy na rejs. Poza tym w okresie od maja do sierpnia włącznie, kiedy jest tarło dorszy, wstrzymane są także połowy ryb innych gatunków, aby uniemożliwić przypadkowe połowy dorsza. Utrzymując tę formę obostrzeń na połowy dorszy, staramy się zadbać o przyszłość gatunku. Na dobrą sprawę niewiele więcej możemy uczynić.

Prof. Jacek Piskozub z Instytutu Oceanologii PAN stwierdził niedawno, że powstawanie stref beztlenowych w morzu, które to mają stać za trudnościami bałtyckiego dorsza, odpowiada nadmierna stratyfikacja, wywoływana rosnącą, średnioroczną temperaturą w Bałtyku. Wyliczenia wskazują nawet na średnią pół stopnia na dekadę.
Wiemy, że w skali stu lat, licząc do 2014 roku, temperatura wody w głębszych obszarach Bałtyku wzrosła od 2 do 4 st. C, ale w różnych miejscach - czyli nie wszędzie o 4 st. i nie wszędzie o 2 st. Osobiście nie znam wyliczeń, które wskazywałyby na średni wzrost temperatury w kontekście całego Bałtyku w tempie 0,5 st. C w ciągu dekady. Byłby to dramatyczny, gwałtowny wzrost, który uniemożliwiłby zimnolubnym gatunkom takim jak dorsz adaptację do nowych warunków środowiska, spowodowany tym tempem wzrostu temperatury. Jeśli te wyliczenia potwierdziłyby się, byłoby to bardzo niepokojące.

Co z wpływem na dorsza ciepłej wody, którą do morza będzie zrzucała instalacja przyszłej elektrowni jądrowej na Pomorzu?
Moim zdaniem takiego wpływu nie będzie. Wiemy, że elektrownia ma zrzucać wodę głównie w strefie przybrzeżnej morza, lokalnie. Wydaje się, że prądy morskie, a szczególnie ten przemieszczający się na wschód (ten, który buduje m.in. Półwysep Helski) będą te zrzuty rozpraszać. Mogą występować okresowe i lokalne wzrosty temperatury wody, które w tych rejonach nie będą sprzyjać występowaniu zimnolubnego dorsza. Nie sądzę jednak, aby zrzuty bezpośrednio zagrażały egzystencji dorszy w Bałtyku.

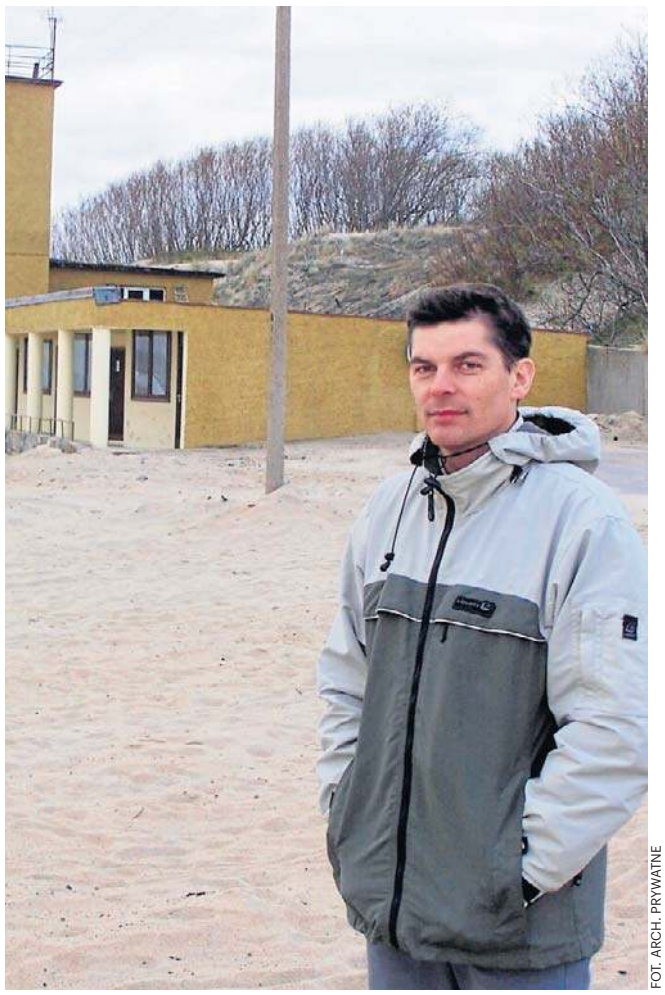

FOT. ARCH. PRYWATNE

Dr Krzysztof Radtke: Widzimy, że obostrzenia połowowe przyniosły pozytywny skutek

REKLAMA 0111006989

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

PO PIERWSZE - WALCZYĆ Z BÓLEM

Anestezjologia walczy z bólem odczuwanym w trakcie i po operacji, podczas badań diagnostycznych. Z bólem, który towarzyszy człowiekowi od narodzin aż do ostatnich minut życia - twierdzi prof. dr hab. n. med. Radosław Owczuk, kierownik Katedry i Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii GUMed

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Anestezjologia kryje się jakby w cieniu innych specjalizacji, a przecież jest niezwykle ważna dla każdego z nas...
Próby walki z bólem, takim proceduralnym, czyli związanym z wykonywaniem różnych czynności, datują się jeszcze od czasów starożytnych. Urazy, wypadki, wojny, które kiedyś były bardzo brutalne – walka bronią białą – powodowały cały szereg obrażeń. Może nie śmiertelnych od razu, ale wymagających różnych interwencji. Trochę znamy takich makabrycznych scen z filmów historycznych, jak trzeba było komuś obciąć po bitwie nogę, wkładając mu patyk do ust, żeby zagryzł, ewentualnie upijając go alkoholem.

Alkohol jako środek znieczulający?
Pierwsze próby były z wyłączaniem świadomości przy pomocy alkoholu, tudzież opiatów, czyli wywaru z maku lekarskiego. Wiemy bowiem, że mak zawiera opioidy. Przede wszystkim morfinę, która działa silnie przeciwbólowo. 30 września 1846 roku amerykański dentysta William Morton dokonał w Bostonie pierwszego zabiegu usunięcia zęba pod narkozą. Pacjent został znieczulony eterem. Następnie zaczęto wprowadzać kolejne środki znieczulenia ogólnego – mniej lub bardziej niebezpieczne, bo tym, co je charakteryzowało, była niestety ich znacząca wybuchowość. Część takich sytuacji kończyła się eksplozją na sali operacyjnej. Niemniej zaczęto wykonywać procedury chirurgiczne zupełnie bezboleśnie.

Kamień milowy?
Takim kamieniem milowym w rozwoju anestezjologii było zastosowanie chloroformu podczas porodu królowej Wiktorii. Ósme i dziewiąte dziecko królowa rodziła znieczulona chloroformem. Fakt, że królowa Wiktoria pozwoliła się znieczulić ogólnie za pomocą wdychania jakiegoś gazu, uznano za znak dla ludności, że procedura jest bezpieczna i należy się jej poddawać.

Trudno wyobrazić sobie operację chorego bez znieczulenia...
Takie dramatyczne historie pacjentów operowanych bez znieczulenia opisuje Jurgen Thorwald w swojej książce „Stulecie chirurgów". W XIX wieku zaczęto udoskonalać leki znieczulające i przeciwbólowe, dzięki czemu chirurgia zaczęła się dynamicznie rozwijać. Oprócz środków znieczulających i przeciwbólowych wprowadzano również leki zwiotczające mięśnie. Łatwiej jest operować chorego, który nie ma żadnej aktywności mięśniowej. W Polsce po raz pierwszy użyto kurary w 1946 roku. Dokonał tego prof. Stanisław Pokrzywnicki w szpitalu powiatowym w Kutnie, do którego skierowano go do pracy po powrocie z Wielkiej Brytanii. Kurarą Indianie nasączali strzały, by porazić ofiarę. Po podaniu dożylnym znosi ona czasowo napięcie mięśni, ale trzeba wtedy pacjentowi wentylować płuca respiratorem, bo inaczej by się udusił. Notabene Stanisław Pokrzywnicki – pułkownik, polski lekarz wojskowy – uważany jest za współtwórcę polskiej szkoły anestezjologicznej. Był współzałożycielem i kierownikiem pierwszej w Polsce Katedry Anestezjologii w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Co było dalej?
Z biegiem czasu rozwijało się również znieczulenia regionalne. To głównie blokady centralne, czyli znieczulenie podpajęczynówkowe i znieczulenie zewnątrzoponowe. Regionalne, tzn. że wyłączone jest czucie w pewnych obszarach ciała. Możemy np. znieczulić chorego od pępka w dół albo całą kończynę górną, albo kończynę górną od łokcia. Od kilku dobrych lat wielką karierę w znieczuleniu regionalnym robi ultrasonografia, bo nauczyliśmy się skanować sploty nerwowe i nerwy oraz podawać lek miejscowo znieczulający dokładnie tam, gdzie należy go podać.

Anestezjologia jest razem z intensywną terapią?
Historia intensywnej terapii jest znacznie krótsza. Po wojnie, w Kopenhadze wybuchła epidemia polio, inaczej choroby Heinego-Medina, czyli zapalenia rogów przednich rdzenia kręgowego z taką postacią, która porażała nerwy odpowiedzialne za oddychanie. Ta postać występowała też wcześniej na świecie, również w Polsce.

Czy w Gdańsku także?
Jak najbardziej. Tu, w tym szpitalu, który nosi teraz nazwę Uniwersyteckie Centrum Kliniczne, był oddział H14, w którym rozpoczynałem pracę jako lekarz pod znakomitym fachowym okiem pani dr Jolanty Ulewicz-Filipowicz, pediatry. Sam oddział powstał w latach 50. Stworzył go pediatra prof. Henrym Brokman, który w 1946 roku objął w Akademii Medycznej w Gdańsku kierownictwo Katedry i Kliniki Chorób Dzieci. W jej ramach funkcjonował oddział obserwacyjno-zakaźny. Tam działały pierwsze w Gdańsku żelazne płuca – dziecko umieszczało się w takiej metalowej tubie, z której wystawała tylko głowa, a na szyi był szczelny gumowy kołnierz. Dziecko nie oddychało, gdyż miało porażone nerwy i mięśnie. Ale w tym urządzeniu wytwarzało się cyklicznie podciśnienie i to powodowało zapadanie się i unoszenie klatki piersiowej. Jeszcze parę lat temu było w USA kilka osób, które były na żelaznych płucach od dzieciństwa i nie chciały z nich zrezygnować. W marcu tego roku zmarł pan Paul Alexander, który 72 lata spędził w tym urządzeniu.
Ponieważ epidemia polio w Danii była tak ogromna, że nie starczyłoby urządzeń i chorzy by się podusili, za sprawą doktora Bjorna Ibsena, pracującego w Kopenhadze, narodził się pomysł, by wentylować tych pacjentów za pomocą urządzenia podobnego do worka ambu. Ibsen pozakładał chorym rurki do tchawicy i kazał studentom, lekarzom, pielęgniarkom wentylować płuca za pomocą worków samorozprężalnych przez wiele dni. Śmiertelność spadła z 90 proc. do 25 proc. Następnie skonstruowano respirator, czyli maszynę, która wentyluje płuca dodatnim ciśnieniem. Przed wynalezieniem respiratora nie było nic, co mogłoby skutecznie i szeroko wesprzeć niewydolny oddech.

FOT. ARCH. PRYWATNE

Dr Radosław Owczuk: Pozycja anestezjologii i intensywnej terapii w szpitalach bardzo się zmieniła. Bez nas de facto nie ma szpitala

A jak to się stało, że zdecydował się pan zostać lekarzem, i to anestezjologiem?
Lekarzem, choć postacią literacką, dzięki któremu wybrałem medycynę, był prof. Rafał Wilczur. Ten z przedwojennego filmu, grany przez Junoszę-Stępowskiego. Gdy miałem pięć lat, moja mama zabrała mnie do kina, z czego wyniknęły dwa następstwa: moja siostra dostała na imię Dominika – walczyłem o to, bo wracała z nami z kina dziewczyna o tym imieniu, która niezwykle przypadła mi do gustu. Z filmu zapamiętałem dwie sceny – nakrapiania eterem maski Schimmelbuscha (podczas operacji przeprowadzanej przez prof. Wilczura) oraz scenę, gdy prof. Wilczur umierał w fotelu, wśród asystentów. Ale operacja (jego ucznia profesora Dobranieckiego) się udała. Siłą rzeczy wybrałem studia lekarskie, potem specjalizację z anestezjologii i intensywnej terapii. I to było to drugie następstwo.

Dwie specjalizacje w jednej?
W Polsce system jest tak skonstruowany, podobnie jak i w kilku krajach Europy, że specjalizacja jest połączona – anestezjologia i intensywna terapia, ponieważ gros czynności na intensywnej terapii wymaga tego, by być bardzo sprawnym manualnie. A to można wyćwiczyć tylko na anestezjologii.

eprasa.pl 4ffdeca71f

Coś się w tej dziedzinie zmienia?
Postęp jest ogromny. Jesteśmy najbardziej stechnicyzowaną specjalnością ze wszystkich dyscyplin medycznych. I na bloku operacyjnym, i na intensywnej terapii. Dotyczy to zarówno monitorowania, bo my stosujemy bardzo zaawansowane techniki monitorowania różnego rodzaju, co widać na zdjęciach, jak chory leży w otoczeniu ogromnej liczby monitorów, ma w sobie mnóstwo cewników itd., jak i technik terapeutycznych, które bardzo się zmieniły. Leczymy obecnie wiele niewydolności układów i narządów po to, by dać czas, żeby się organ zregenerował albo zyskać czas na znalezienie narządu do przeszczepienia. Najlepszym przykładem na intensywnej terapii są nerki, bo są aż trzy drogi wyjścia z sytuacji, gdy nerka jest niewydolna. Pierwsza droga to powrót jej czynności i te techniki, które my stosujemy. Techniki ciągłe dają znacznie lepsze wyniki u krytycznie chorych, jeśli chodzi o powrót sprawności nerki, niż techniki przerywane, takie jak zwykła dializa. Po drugie, może dojść do trwałego uszkodzenia nerki – wówczas chory jest dializowany przewlekle (czyli narząd jest skutecznie zastąpiony na dłuższy czas). Trzeci – najlepszy wariant – przeszczep. I zdarza się tak, że pobyt na intensywnej terapii musi kończyć się przeszczepieniem wątroby, serca itd., bo nie ma innego wyjścia i jest to jedyny sposób, żeby chory mógł dłużej żyć.

Pacjenci nie pamiętają po wyjściu ze szpitala, że był tam jakiś anestezjolog…
Na sali operacyjnej jesteśmy dość anonimowi. Oglądamy pacjenta przed znieczuleniem, w czasie tzw. premedykacji, na bloku operacyjnym witamy go w masce, potem on zaraz zasypia, po czym się budzi, trafia z powrotem na chirurgię i kontakt z anestezjologiem, kiedy zachowuje świadomość, jest krótki. Na intensywnej terapii pacjent jest nieprzytomny lub w tzw. przytomnej sedacji, żeby współpracował, poddawał się wentylacji, był świadomy, kiedy już można sobie na to pozwolić. Generalnie jednak najlepiej, by z tego okresu nie pamiętał nic. Chodzi o to, że chory przebywa w trudnym otoczeniu, percepowanie wszystkiego, co dzieje się wokół, wiązałoby się z dużą traumą na całe życie.

Dyrekcje szpitali bardziej cenią chyba lekarzy innych specjalności…
Pozycja anestezjologii i intensywnej terapii w szpitalach bardzo się zmieniła. Bez nas de facto nie ma szpitala. Nie da się przeprowadzić inwazyjnej procedury – dostrzegli to zarządzający szpitalami i lekarze innych specjalności. Anestezjologia jest jedną z dwóch specjalizacji w Polsce, która ma swój standard organizacyjny – akt prawny w postaci rozporządzenia ministra zdrowia, w którym zapisane regulacje zapewniają bezpieczeństwo pacjentom.

Anestezja (z jęz. grec. i łac. anaisthēsía – „brak czucia"), czyli inaczej znieczulenie, to przejściowe pozbawienie pacjenta możliwości czucia i odbierania bodźców bólowych.
Tak więc sama geneza słowa w jakiś sposób warunkuje to, co się dzieje, co jest ważne zarówno ze strony pacjenta, jak i lekarza – nieodczuwanie bólu. To jest podstawowa sprawa. Wielu procedur leczniczych i diagnostycznych nie dałoby się przeżyć albo wykonać, gdyby pacjent nie miał zapewnionej bezbolesności i zniesienia świadomości.
Bólem u pacjentów w okresie terminalnym zajmują się specjaliści medycyny paliatywnej. Inne są tam sposoby leczenia i walka z bólem przewlekłym jest absolutnym priorytetem. Natomiast my leczymy ból ostry różnymi technikami – najprostsza to podawanie leków przeciwbólowych dożylnie, natomiast coraz bardziej skłaniamy się do zmiany charakteru leków, które podajemy. Kiedyś podawało się głównie niesteroidowe leki przeciwzapalne oraz opioidy takie jak morfina czy fentanyl. Są jednak osoby, na które te środki nie działają w dostateczny sposób. Do tego środki te mogą powodować wiele działań ubocznych. Jedno z nich to senność – chory śpi i nie współpracuje, tymczasem to, co jest bardzo ważne dziś w medycynie pooperacyjnej, to wczesna rehabilitacja. Musimy wypośrodkować między tym, by chory był współpracujący, ćwiczący choćby oddechowo, najlepiej by się uruchamiał jeszcze w pierwszej dobie po zabiegu, a jednocześnie, by dolegliwości bólowe były na akceptowalnym poziomie. Mamy trochę takie podejście, że ma być zero bólu i to chyba jest trudne albo wręcz niemożliwe do uzyskania. My musimy dążyć do sytuacji, w której pacjent odczuwa ból minimalny, o ile go oczywiście akceptuje. Zawsze trzeba się liczyć z tzw. bólami przebijającymi. Czyli leżę sobie po operacji i nic mnie nie boli, ale jak zacznę kasłać, znów zacznie mnie boleć. Na to też trzeba być przygotowanym. Obecnie w zwalczaniu bólu pooperacyjnego wzbogacamy zestaw leków przeciwbólowych, czyli stosujemy coś, co się nazywa analgezja multimodalna. Zamiast jednego, podajemy kilka leków o różnym mechanizmie działania. Często niektóre z nich podajemy jeszcze przed znieczuleniem, po to by pacjent się wysycił tymi lekami i by trochę zmienić przepływ bodźców bólowych w czasie operacji. Potem zamiast dawać dużą dawkę morfiny, podajemy jej dużo mniej, ale jednocześnie podajemy inne leki, które zwiększają jej potencjał przeciwbólowy lub w inny sposób niwelują ból. Bardzo dotkliwy ból pooperacyjny występuje po operacjach w obrębie nadbrzusza i klatki piersiowej. Jest niebezpieczny, bo z jego powodu po takich operacjach chorzy płytko oddychają, tworzy się niedodma, czyli sklejają się pęcherzyki płucne i może rozwinąć się zapalenie płuc.

A co się robi, jeśli pacjent ma przeciwwskazania do pełnej narkozy?
Teraz u bardzo obciążonych oddechowo pacjentów w zabiegach, które zawsze wykonywane były w znieczuleniu ogólnym, stosuje się również techniki anestezji regionalnej, bo to powoduje, że chory nie odczuwa bólu, a jednocześnie nie musimy poddawać pacjenta działaniu opioidów w dużej dawce. Można znieczulić chorego nie tylko od pępka w dół, rękę od łokcia czy całą nogę, ale również fragment ciała poprzez blokowanie nerwów, splotów albo pni. Jest to wspomniana już anestezja regionalna. Możemy też wyłączyć jakiś fragment tułowia przy pomocy tak zwanego znieczulenia zewnątrzoponowego – w zależności od miejsca wkłucia igły i dawki leku znosimy ból w określonym obszarze.

Kobiety chcą rodzić bez bólu…
W ten sam sposób znieczulamy rodzące do cięcia cesarskiego, wykonując znieczulenie podpajęczynówkowe, a do porodu drogami natury blokadę zewnątrzoponową. Nie wszystkie oddziały położnicze muszą zapewniać znieczulenie zewnątrzoponowe do porodu, bo na dziś standard opieki okołoporodowej zakłada, że szpital musi zapewnić łagodzenie bólu porodowego, ale niekoniecznie musi to być analgezja zewnątrzoponowa. To może być podawanie podtlenku azotu lub remifentanylu dożylnie. Do znieczulenia zewnątrzoponowego warunkiem jest to, że na trakcie porodowym obecny jest specjalista anestezjologii i intensywnej terapii.
Z kolei ponad 90 proc. cięć cesarskich wykonywanych jest w znieczuleniu podpajęczynówkowym. Jest to metoda bezpieczniejsza od znieczulenia ogólnego, bo uważamy, że pacjentka do cięcia jest zawsze z pełnym żołądkiem. A nawet jak jest na czczo, to trzeba ją traktować, jakby z pełnym żołądkiem była. W znieczuleniu ogólnym u osoby z pełnym żołądkiem zawsze istnieje ryzyko, że się zachłyśnie. Dlatego też wkłuwamy się w plecy nisko i podajemy małą dawkę leku do innego miejsca niż w znieczuleniu zewnątrzoponowym. A do operacji na torakochirurgii, w obrębie klatki piersiowej można wykonać znieczulenie zewnątrzoponowe w odcinku piersiowym i wyłączyć segmenty, w których ma być operacja. Od kilku lat obserwujemy dużą liczbę tzw. blokad międzypowięziowych. Pod kontrolą USG szuka się miejsca przebiegu nerwów, np. między powięzią mięśnia prostownika grzbietu, wkłuwamy się i podajemy leki miejscowo znieczulające. Efekt jest rewelacyjny, a jednocześnie nie ma tylu efektów ubocznych, co po blokadach centralnych, czyli zewnątrzoponowej i podpajęczynówkowej.

Jakie skutki uboczne mogą powodować tego rodzaju znieczulenia?
Przy zewnątrzoponowym głównym efektem ubocznym jest spadek ciśnienia tętniczego. Bo my oprócz tego, że znieczulimy nerwy odpowiedzialne za czucie, to znieczulimy też nerwy współczulne, które są odpowiedzialne za napięcie naczyń. Naczynia się rozszerzają i spada ciśnienie. Część lekarzy stosuje profilaktyczne podawanie płynów, część – leki obkurczające naczynia.
W podpajęczynówkowym znieczuleniu kiedyś najczęstsze były tzw. popunkcyjne bóle głowy, w tej chwili to rzadkość, bo zmieniły się bardzo igły do nakłucia. Są tak ukształtowane, że nie robimy dziury w oponie, by wyciekał przez nią płyn mózgowo-rdzeniowy. Teraz, jak wyjmujemy igłę, opona się zamyka. Obecnie najczęstszym objawem niepożądanym jest zatrzymanie moczu. Bo znieczulamy jednocześnie nerwy odpowiedzialne za wypieranie moczu z pęcherza. Jak zapowiada się dłuższy zabieg i znieczulenie, trzeba zacewnikować pęcherz.

Co dziś jest na świecie na „topie anestezjologicznym"?
Na pewno analgezja kontrolowana przez pacjenta. Lek, który powoduje zniesienie bólu (opioid), podawany jest w pompie strzykawkowej. Podanie leku uruchamia pacjent. Nie może jednak podawać sobie leku tyle razy, ile chce. Pompa jest tak zaprogramowana, żeby lek podawany był w określonej ilości i maksymalnej liczbie podań w ciągu np. godziny. Podawany w dowolnych ilościach może wywoływać niebezpieczne objawy uboczne. Jednocześnie pacjent nie wie, czy system się uruchomił, czy nie. Efekt placebo w leczeniu bólu stanowi co najmniej 30 procent. Niektórym chorym bardzo pomaga np. podawanie zwykłej tzw. soli fizjologicznej.
Obecnie wielu chorych operowanych jest w trybie chirurgii jednego dnia i wcześnie po zabiegu wraca do domu. Jeśli istnieje obawa, że pacjent będzie odczuwał silny ból w domu, to robi mu się często blokadę nerwów obwodowych, tzw. ciągłą. Nie nakłuwamy tylko igłą i nie podajemy jednorazowo leku przeciwbólowego, ale zakładamy cewnik w okolicę nerwu i dajemy pacjentowi pompę elastomerową, która podaje lek przez dwie, trzy doby. Warunkiem wypisania do domu jest skuteczne zabezpieczenie przed bólem, ponieważ najczęstszą przyczyną ponownych przyjęć do szpitali po zabiegach w trybie chirurgii jednego dnia, jest albo ból nie do wytrzymania, albo krwawienia, albo wymioty i nudności. Taki pacjent musi więc mieć zapewniony sprawny transport do domu i – w razie wystąpienia powikłań – z domu do szpitala.

Czy te wszystkie metody znieczulania pacjentów są bezpieczne?
Oczywiście. Trzeba jednak pamiętać, że każda czynność w medycynie – od podawania witaminy C po operacje mózgu – zawsze łączy się z jakimś, różnego stopnia ryzykiem.

REKLAMA 0011045964

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

FOT. MAT. OPERY BAŁTYCKIEJ

Hanna Wójcikowska-Szymczak: „Coppelia" to balet komiczny, opowiadający o egzotycznym i dalekim dla mieszkańców ówczesnego Paryża świecie

DO TEATRU NIE WCHODZI SIĘ BEZKARNIE

100 kostiumów i 400 metrów tkanin zaprojektowano do baletu komicznego „Coppélia" Léo Delibesa. Premiera przedstawienia w Operze Bałtyckiej już 6 kwietnia. Do współpracy zaproszony został duński choreograf Johan Kobborg, orkiestrę poprowadzi Luis Gorelik, a scenografię i kostiumy przygotowuje Hanna Wójcikowska-Szymczak, z którą rozmawialiśmy o jej pracy...

Grażyna Antoniewicz

Akcja „Coppélii" rozgrywa się w małym miasteczku, które w przygotowywanej przez Operę Bałtycką inscenizacji przywołuje na myśl obrazy Chagalla.

Obrazy Chagalla, dla choreografa „Coppelii" i dla mnie, stały się płaszczyzną artystycznego porozumienia. By stworzyć spójny obraz, musieliśmy określić emocje, o których chcemy opowiedzieć. Kluczem okazał się tu właśnie Chagall, w którego twórczości odnaleźć można tęsknotę i melancholię, ale taką nie do końca racjonalnie uzasadnioną. Malarz ten pomógł nam zobrazować spotkanie i próbę zrozumienia człowieka Wschodu przez człowieka Zachodu. A taką właśnie sytuację mamy w przypadku „Coppelii" - zarówno kompozytor, jak i librecista, wywodzący się z kultury zachodniej, w swoim dziele opowiadali o ludziach zamieszkujących wschodnią część Europy. Akcję umieścili w dalekiej, patrząc z ich perspektywy, Galicji. Oczywiście, mówimy tu o osadzeniu historycznym, bo trudno dokładnie określić miejsce opowieści - to może być miasteczko na Słowacji, Morawach, Węgrzech, w Transylwanii czy nawet pod Tarnopolem, po prostu gdzieś w Cesarstwie Austro-Węgierskim. Zgodność historyczna nie jest ważna, istotniejsza jest sama opowieść o człowieku Wschodu, opowieść dla kompozytora i librecisty w pewnym stopniu egzotyczna.

Ta inspiracja Chagallowska nie jest zatem taka oczywista...

Zdecydowanie. To nie są cytaty, mówimy tu o dwóch zupełnie innych światach. Ten wykreowany przez libretto i muzykę został skrojony według gustu francuskiego mieszczaństwa. To balet komiczny opowiadający o egzotycznym i przede wszystkim dalekim dla mieszkańców ówczesnego Paryża świecie. Ważniejsza jednak jest sama historia. Mnie zauroczył pomysł choreografa, by przełożyć ciężar gatunkowy i przyjrzeć się bliżej postaci Coppeliusa. Tradycyjnie był on pokazywany jako staruszek-dziwak, któremu udało się skonstruować lalkę-automat, w dodatku tak precyzyjnie, że oszukał całe miasteczko. Ten groteskowy staruszek ostatecznie sam zostaje nabrany przez młodą dziewczynę, która walczy o swoją miłość. Choreograf wspaniale ominął tę pułapkę pewnej banalności i zdecydował się przesunąć akcent z młodej pary i ich uczuciowych perypetii na Coppeliusa i wątek miłości rodzicielskiej i bolesnej straty. Mamy szalenie wzruszającą i tragiczną zarazem scenę, w której Coppelius jest przekonany o tym, że rzeczywiście udało mu się ożywić zmarłą córkę Coppelię. Tymczasem został jedynie oszukany przez Swanildę, przebraną w kostium lalki. Towarzyszy temu muzyka, która ze względu na swój charakter nie skłania do snucia jakichś głębokich refleksji o istocie człowieczeństwa. Są w niej jednak, szczególnie w akcie drugim, piękne liryczne motywy, bardzo emocjonalne, co pozwoliło nam pójść w kierunku opowieści o tęsknocie, utracie i różnych wymiarach miłości.

Jak wiadomo, kostium baletowy, niezależnie od tego, czy to jest balet klasyczny czy współczesny, ma pewną specyfikę.

Funkcjonalność kostiumu baletowego jest nadrzędnym problemem. To nawet nie jest kwestia wygody, ale czasami też bezpieczeństwa. Jeśli w balecie klasycznym solistka tańczy z partnerem adagio, to wiadomo, że nie może być zdobień na wysokości pasa. Kostium nie może też „ślizgać się" wokół ciała, bo tancerz i tancerka muszą mieć komfort i pewność, że nie przesunie się on podczas wykonywania baletowych figur.

Jakie kostiumy zobaczymy?

Uznałam, że nie ma absolutnie żadnego sensu odtwarzanie jakiegoś folkloru. To nie jest historyczna rekonstrukcja ani materiał etnograficzny. To, co pokazujemy na scenie, to taki trochę wymyślony folklor. Bardzo mi zależało, by go uniknąć w takiej czystej postaci, ale jednocześnie zrealizować ludową potrzebę pewnej ozdobności i koloru, które były przecież znamionami pozycji społecznej. Dzisiaj ktoś szczupły i ubrany w stonowane kolory będzie uchodził za lepiej usytuowanego niż ktoś tęższy i „pstrokaty", ale pamiętajmy, że odczytywanie funkcji społecznych przez pryzmat wyglądu zewnętrznego zmieniło się w ostatnich kilkudziesięciu latach. W „Coppelii" opowiadamy o świecie, w którym człowiek kolorowo ubrany był bogaty, ponieważ stać go było na ubranie z drogich, dobrze ufarbowanych tkanin. I to w naszym spektaklu jest obecne, zrezygnowałam natomiast z tych wszystkich pasmanterii, jak kokardki czy inne drobne zdobienia.

Od dłuższego czasu projektuje pani i drukuje tkaniny.

Na potrzeby tego spektaklu, razem z moją asystentką - Karoliną Kociołkowską, dyplomantką Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, zaprojektowałyśmy 600 wzorów tkanin i wydrukowałyśmy ponad 400 metrów materiału. Wydaje się to bardzo dużo, ale podyktowane jest to potrzebami - na jedną warstwę ludowej wersji tradycyjnej romantycznej paczki (krótka, sztywno stercząca spódniczka, dwu- lub trzywarstwowa) zużywamy pięć metrów tkaniny.

Ile kostiumów zobaczymy na scenie?

Szyjemy około 100 kostiumów. Trudno mi powiedzieć w tej chwili, ile ich ostatecznie będzie. Ta liczba jest zmienna, bo próby wciąż trwają.

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI

Na jedną warstwę ludowej wersji tradycyjnej romantycznej paczki (krótka, sztywno stercząca spódniczka, dwu- lub trzywarstwowa) zużywamy pięć metrów tkaniny

eprasa.pl 4ffdeca71f

Spektakl realizuje duński choreograf...
Fantastyczne jest to, że publiczność Gdańska będzie mogła zobaczyć balet klasyczny, zrealizowany w innej tradycji niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Taniec klasyczny kojarzy nam się z rosyjskim baletem, który można określić jako wyczynowy, gdzie właściwie cała narracja oparta jest tylko i wyłącznie na napięciu emocjonalnym i estetycznym, wynikającym z choreografii. Johan Kobborg, choreograf „Coppelii", jest człowiekiem z zupełnie innego kręgu kulturowego, pracuje w duńskiej tradycji Bournonvillowskiej, która wymaga od tancerzy niezwykłej muzykalności, ale też umiejętności aktorskich - jest tam też trochę pantomimy.

Pochodzi pani z teatralnej rodziny, czy wpłynęło to na wybór zawodu?
Na pewno, choć był czas, kiedy broniłam się przed tym. Jestem czwartym pokoleniem związanym z teatrem (baletem lub teatrem dramatycznym). Mój dziadek był tancerzem, rodzice aktorami. Jak żyje się w takim domu, to się tym mimowolnie nasiąka. Wielokrotnie jako dziecko występowałam w spektaklach. To powszechna praktyka w teatrach, że gdy potrzebne jest do spektaklu dziecko, to najlepiej sprawdza się to „teatralne" - wie, jak się zachować, gdzie nie wolno chodzić, poza tym zazwyczaj któryś z rodziców też bierze udział w przedstawieniu, więc nie ma konieczności zapewniania dodatkowej opieki. Zagrałam między innymi Isię w „Weselu" w reżyserii Józefa Grudy, ale granie wydawało mi się trochę niepoważne. Uwielbiałam natomiast chodzić do stolarni czy pracowni krawieckiej - to była praca - taka prawdziwa, namacalna. W gruncie rzeczy to jest bardzo obciążająca i wymagająca praca. Ludziom wydaje się, że coś się wyjmie z magazynu, coś uszyje, nie mają świadomości tego, że jak jest deadline to koniec. Nie można go przekroczyć, obiecać że „dwa dni później wam to zrobię". Teatr to miejsce specyficzne. Do teatru nie wchodzi się bezkarnie, jak powiedział Kantor.

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI

Solistka Opery Bałtyckiej Mayu Takata jako Swanilda i kierownik baletu Wojciech Warszawski, kreujący w spektaklu partię Coppeliusa, podczas próby odbywającej się w sali baletowej

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI

Na zdjęciu elementy dekoracji zaprojektowanych przez Hannę Wójcikowską-Szymczak

WARTO WIEDZIEĆ

Balet Léo Delibesa „Coppélia", wystawiony w operze paryskiej 25 maja 1870 roku, stał się prawdziwym triumfem baletmistrza.
Libretto skomponowane przez Nuittera i Saint Leone, a osnute na bajce Hoffmanna. Jest to balet w dwóch pierwszych aktach o treści wesołej, żartobliwej, dowcipnej. Akt trzeci jest właściwie po prostu barwnym divertissment.
Rolę Swanildy tańczyła 16-letnia Włoszka Giuseppina Bozzacchi. Rola młodego Franza wykonana została przez tancerkę Fiocre, której piękna budowa świetnie nadawała się do roli tranvesti.
Oryginał baletu „Coppelia" znajduje się Bibliotheque-musée de l'Opéra.

AUTOPROMOCJA 0111053192

Dołącz do akcji Dziennika Bałtyckiego i Klubu Arka Gdynia!

Nakarm psiaka, zgarnij kwiatka!

Zbieramy karmę i koce na rzecz bezdomnych zwierzaków ze schroniska Ciapkowo w Gdyni.

13 kwietnia
godz. 12-18

Akademickie Centrum Sportowe Akademii Marynarki Wojennej

ORGANIZATOR AKCJI: Dziennik Bałtycki
ORGANIZATOR ZBIÓRKI: OTOZ ANIMALS CIAPKOWO
PARTNER GŁÓWNY: ARKA GDYNIA – KRAJOWA GRUPA SPOŻYWCZA ARKA GDYNIA
PARTNER LOKALIZACYJNY: AMW
PARTNERZY: Masterlease Grupa PKO Banku Polskiego; PROPSY; OSP GDAŃSK

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

Powrót strzelca. Kiedyś dzieło rzeźbiarza, a dziś drukarki 3D

Kto by pomyślał, że figurka z brązu wysokości przeciętnego ośmiolatka może budzić emocje. Jednak blisko sto lat temu na baczność stanęli przy niej przedsiębiorcy z przedwojennego Marienburga. A wkrótce zostanie odtworzona przy użyciu technologii 3D i umieszczona w sąsiedztwie Ratusza Staromiejskiego

Anna Szade

Zebrani sami mogli budzić podziw - ubrani w jednakowe szaro-zielone marynarki z zielonymi kołnierzykami i czarne spodnie, w szarych filcowych kapeluszach zdobionych piórkiem. Obok stali „cywile" z miejscowej elity w eleganckich surdutach i cylindrach, które wtedy wkładano na specjalne okazje. Działo się to 30 maja 1926 r., gdy odsłaniano nową fontannę przy Ratuszu ulokowanym przy tętniącym życiem, dawnym miejskim rynku w niemieckim Malborku. Wszystko było też widać z pięknych kamienic, które stały naprzeciwko. Tak świętowało swoje 575-lecie Bractwo Strzeleckie. Obchody były naprawdę huczne. Na liście gości był nawet Paul von Hindenburg, prezydent Niemiec, który jednak nie mógł przybyć.

Członkowie bractwa jak... terytorialsi

Gdyby szukać analogii do współczesności, można byłoby porównać pokaz pięknej fontanny przy XIV-wiecznym Ratuszu z prezentacją miniatury zamku, która odbyła się pod koniec marca br. przy ulicy Piłsudskiego w Malborku. Wtedy też spotkał się biznes działający w mieście, bo to jego przedstawiciele złożyli się na ówczesną nową atrakcję. Współczesny minizamek nie chłodzi i nie daje cienia, ale fundatorzy mogą być z niego tak samo dumni, jak 98 lat wcześniej przedstawiciele znakomitych rodów mieszczańskich, kupieckich i rzemieślniczych, którzy zebrali się przy fontannie. W końcu należeli do organizacji, której tradycja sięgała kilku wieków wstecz.

Jak ustalił Ryszard Rząd, historyk z Muzeum Zamkowego w Malborku, malborskie Bractwo Strzeleckie powstało z inicjatywy Winricha von Kniprode, wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego.

- Pochodził z Nadrenii, gdzie tego typu stowarzyszenia przygotowujące mieszczan do obrony były szeroko rozpowszechnione. Dlatego już 15 września 1351 r., dzień po obradach Kapituły Generalnej, która wprowadziła go na najwyższy urząd w zakonie, zarządził uroczyste strzelanie do figury ptaka umieszczonej na słupie. On też został zwycięzcą tych pierwszych zawodów - pisze Ryszard Rząd w „Bedekerze malborskim 1845-1945".

Bractwa w tamtym czasie liczyły od 50 do 100 osób, bo średniowieczne miasta nakładały na swych mieszkańców obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa w przypadku zagrożenia zewnętrznego. Działali trochę jak obecni terytorialsi, w wolnych chwilach ćwicząc na strzelnicach i rękę, i oko. Można się trochę skrzywić, bo jak pisze Ryszard Rząd, tamto wojskowe przysposobienie mieszczan sprawdziło się podczas wojen z Polską w latach 1410 i 1457-60. Ale jak się okazuje, historia nie lubi próżni, zwłaszcza jeśli miasto - jak dawny gród nad Nogatem - przechodzi z rąk do rąk, a polski był od 1457 do 1772 roku.

- Polscy administratorzy Malborka widzieli w Bractwie Strzeleckim jeden z ważnych elementów obrony terytorialnej Prus Królewskich - podkreśla Ryszard Rząd w „Bedekerze malborskim".

Życzliwym okiem spoglądał na tę aktywność choćby król Jan III Sobieski, który nadawał społecznikom rozmaite przywileje i ulgi. Także finansowe.

Jak na działaczy organizacji pozarządowych przystało, członkowie bractwa nie skupiali się tylko na szkoleniach i ćwiczeniach bezpośrednio związanych z podnoszeniem umiejętności strzeleckich. Organizowali też liczne festyny i konkursy.

Figura trafiła do Hamburga

Nic dziwnego, że w 1926 r. członkowie bractwa zdecydowali się ufundować okazałą fontannę w reprezentacyjnej lokalizacji, niedaleko zamku, gdzie wówczas skupiało się życie miasta z uwagi na obecność placówek handlowych i usługowych.

To była wiosenna niedziela, gdy przy Ratuszu zebrali się odświętnie ubrani mieszkańcy miasta.

- 2 maja 1926 r. z okazji 575-lecia malborskiego Bractwa Strzeleckiego wmurowano uroczyście akt erekcyjny pod miejską fontannę. Dokument zaczynał się od słów: „W 8 roku po zakończeniu wielkiej wojny i w 1 roku rządów Prezydenta Rzeszy von Hindenburga, honorowego prezydenta Bractwa Strzeleckiego" - przypomina Tomasz Agejczyk, dyrektor Muzeum Miasta Malborka.

Cztery tygodnie później fontanna była gotowa. Elementy z bawarskiego wapienia wykonał malborski kamieniarz Hermann Still. Ozdobny fragment miał wysokość 0,85 m, zaś cały cokół od lustra wody - ok. 2,45 m. Still był właścicielem znanego w mieście i regionie zakładu kamieniarskiego. Jak wspomina Ryszard Rząd w „Bedekerze malborskim", był aktywnym członkiem Bractwa Strzeleckiego, a w 1924 r. został królem kurkowym.

- 30 maja 1926 r. przy południowo-zachodnim narożniku staromiejskiego Ratusza uroczyście odsłonięto prostą w formie fontannę. Wewnątrz basenu z wodą ustawiono wysoki kamienny cokół z wyrytym dwustronnie napisem: „Schützenbrunnen 1926" [„Fontanna strzelca" - dop. red.]. Na cokole ustawiono figurkę kusznika z brązu o wysokości ok. 1,2 m wykonaną przez słynnego królewieckiego rzeźbiarza Walthera Rosenberga - opisuje dawny wygląd atrakcji Tomasz Agejczyk.

Rosenberg to absolwent Akademii Sztuki w Królewcu. Jego rzeźby dawniej eksponowano choćby w Szczytnie, Morągu i Pieniężnie. Był autorem wielu dzieł, które zostały zniszczone po drugiej wojnie światowej przez administrację polską i sowiecką. Los malborskiej rzeźby nie jest znany. Na pewno jednak nie została po prostu roztrzaskana po 1945 r., bo już wcześniej zniknęła z cokołu.

- W czasie drugiej wojny światowej rzeźba strzelca została zdemontowana i przewieziona do Hamburga, na cmentarzysko dzwonów, w celu przetopienia. Zachowało się powojenne zdjęcie, na którym widać malborskiego strzelca w otoczeniu różnych figur, w tym elbląskiej Diany, która znajduje się obecnie w Berlinie. Jest to dowód przetrwania strzelca, jednak brak informacji o dalszych losach - wspomina Tomasz Agejczyk.

Fontanna stała sucha przez wiele powojennych dekad. Uruchomiono ją ponownie 10 lipca 2010 r., po przejściu barwnego korowodu uczestników VIII Festiwalu Kultury Dawnej. Puszczono strumień wody, nie uzupełniono jednak brakujących elementów.

Na to przyjdzie czas w tym roku. Trwa remont zabytkowego Ratusza. Przewidziano również przywrócenie przedwojennego wyglądu fontannie, która stoi przy historycznym obiekcie. Współcześnie będzie to w miarę wierna imitacja. Model zostanie przygotowany na podstawie dostępnych zdjęć. Jak zapowiada magistrat, najpierw zrobiony zostanie wydruk w 3D.

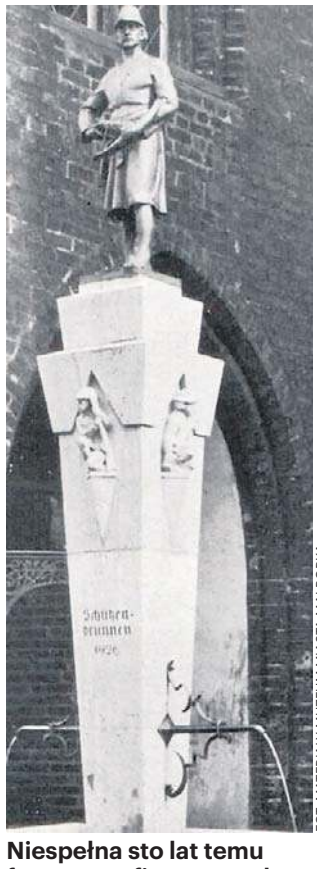

FOT. MATERIAŁY MUZEUM MIASTA MALBORKA

Niespełna sto lat temu fontanna z figurą strzelca stała się jedną z atrakcji ówczesnego Marienburga

Dawniej rzeźbiarz musiał sam ulepić figurę, by móc wykonać odlew z brązu. Teraz to komputer odczyta z przedwojennych fotografii rozmiary malborskiego strzelca i drukarka warstwami nałoży materiał, póki nie będzie przypominał postaci, której współcześnie żyjący nie widzieli na oczy. Prace w Ratuszu, które skupiają się przede wszystkim na dachu i poddaszu oraz częściowo na elewacjach, prowadzi Przedsiębiorstwo Ogólnobudowlane i Konserwacji Zabytków Maciej Szczepkowski, Rafał Socha sp. j. z Malborka, które wygrało przetarg. Zadanie nazywa się „Modernizacja średniowiecznego zabytku - budynku Ratusza Miejskiego w Malborku - etap 1". Umowa zawarta z wykonawcą 23 lutego br. przewiduje, że realizacja potrwa pół roku. Inwestycja ma kosztować 2 944 620 zł brutto. Pieniądze pochodzą z drugiej edycji Rządowego Programu Odbudowy Zabytków.

Malborkowi też skapnęło z funduszu dla Warszawy

Kolejne dwa etapy remontu Ratusza Staromiejskiego mają być realizowane z unijnym dofinansowaniem. To nie pierwszy raz, gdy ta najstarsza miejska budowla jest ratowana z zewnętrznych środków. Żaden wstyd, Warszawę też odbudowywano ze składek obywateli. Po drugiej wojnie światowej powstał specjalny Społeczny Funduszu Odbudowy Stolicy. Fundusz był ogólnokrajowy, a pieniądze pochodziły z przymusowego opodatkowania osób pracujących w wysokości 0,5 proc. bieżących zarobków. Opodatkowano też niektóre produkty, np. wódkę, pobierano dochody z imprez kulturalno-artystycznych i dobrowolnych zbiórek ludności.

„Wrzesień bieżącego roku jest miesiącem specjalnie poświęconym odbudowie Warszawy. W tym miesiącu mieszkańcy miast i wsi całej Polski wnoszą swój materialny wkład w dzieło przywrócenia Warszawie dawnej świetności. Ogólnokrajowa konferencja przedstawicieli związków zawodowych uchwaliła jednogłośnie wezwać wszystkich ludzi pracy, żeby 21 września ofiarowali równowartość jednego dnia pracy na rzecz odbudowy Warszawy. Mieszkańcy Wybrzeża nie mogą zostać w tyle za innymi dzielnicami kraju w akcji pomocy Warszawie. Powinniśmy zrozumieć, że chociaż każdy z nas ma tysiące własnych trudności i kłopotów, chociaż i na Wybrzeżu od Szczecina po Gdańsk i Elbląg wojna pozostawiła swój straszliwy ślad, sprawa odbudowy Warszawy jest sprawą ogólnonarodową, tak jak Warszawa jest wspólną własnością i dumą całej Polski" - informował „Dziennik Bałtycki" 10 września 1947 r.

O ile na początku pieniądze trafiały do Warszawy, to później przemianowano SFOS na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy i Kraju, a zebrane środki przeznaczano również na cenne obiekty w całej Polsce, choćby na Stare Miasto w Gdańsku i Poznaniu, częściowo Wawel, ale też zabytki Sandomierza, Szczecina czy Kazimierza Dolnego i Lublina.

W końcówce lat 50. XX wieku, gdy w Malborku przymierzano się do odbudowy Ratusza, środki również pochodziły właśnie z tego źródła. Jednak ponad 60 lat temu pozyskanych pieniędzy nie wystarczyło na zrealizowanie całej inwestycji. „1 mln zł od konserwatora wojewódzkiego pozwoliłby na odbudowę i praktyczne wykorzystanie zabytkowego ratusza w Malborku" - sugerował w tytule swojego tekstu „Dziennik Bałtycki" z 1958 r.

„Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Malborku od dłuższego czasu czyni starania o odbudowę zabytkowego Ratusza na Starym Mieście. Po zamku jest on drugą atrakcją miasta" - pisał autor artykułu.

Ile wówczas brakowało?

- Społeczny Komitet Odbudowy Stolicy i Kraju przeznaczył już wprawdzie na odbudowę Ratusza 420 tys. zł, lecz całkowity koszt robót wyniesie w przybliżeniu około 1,5 mln zł - wyliczono w końcówce lat 50. ubiegłego wieku potrzeby finansowe całego przedsięwzięcia.

Wtedy oczy wszystkich kierowały się na wojewódzkiego konserwatora zabytków w sprawie wspomnianego miliona.

- Prośbę tę wnosi nie tylko społeczeństwo Malborka, ale i wszyscy turyści zwiedzający zamek, którzy przechodząc obok Ratusza z politowaniem kiwają głowami nad niszczejącym zabytkiem architektonicznym - podkreślał „Dziennik Bałtycki".

Niestety, nie ma już śladów po przedwojennej zabudowie, która była dumą i chlubą miasta. Wokół Ratusza w latach 1962-68 powstały nowoczesne, jak na tamte czasy, budynki. Osiedle zaprojektował gdański architekt Szczepan Baum, który wzorował się na przedwojennej koncepcji przestrzennej. Centralnym punktem obecnego Starego Miasta, a wówczas Osiedla XX-lecia PRL, bo taką nazwę nosiło do lat 90., był obecny Trakt Jana Pawła II. To wzdłuż niego stanęły powtarzalne czterokondygnacyjne bloki. Drugą linię zabudowy zajęły proste punktowce oraz zaplecze handlowe i usługowe w postaci pawilonów. Powstała więc atrakcyjna, jak na lata 60., sypialniana enklawa miasta, za którą autor otrzymał nawet nagrodę ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych.

©℗

eprasa.pl 4ffdeca71f

SOBOL
POL
DAMIAN RAFAŁ
24 WRZ/SEP 1988 PRZEMYŚL
POLSKIE / POLISH
21 LUT/FEB 2022
21 LUT/FEB 2032
P<POLSOBOL<<DAMIAN<RAFAL<<

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

- Chcemy powiązać finanse jednostek samorządu terytorialnego z zarobkami ich mieszkańców i przedsiębiorstw, a nie z wysokością podatków płaconych fiskusowi. To pozwoli samorządom ustabilizować ich budżety - mówi Andrzej Domański, minister finansów

Agaton Koziński

ANDRZEJ DOMAŃSKI: ZALEŻY MI NA TYM, ŻEBY MINISTERSTWO FINANSÓW ODZYSKAŁO NALEŻNE MU MIEJSCE W POLSKIM SYSTEMIE

Jaka będzie inflacja w tym roku?
W marcu inflacja wyniosła 1,9 proc. Ten odczyt jest na najniższym poziomie od pięciu lat. NBP szacuje, że średnia inflacja wyniesie 5,7 proc. w 2024 r. Prognozy analityków rynkowych wskazują na znacznie niższy poziom ok. 4 proc. Nasze wstępne szacunki plasują się pomiędzy tymi dwiema wartościami. Oficjalna prognoza MF zostanie opublikowana w Aktualizacji Programu Konwergencji pod koniec kwietnia.

Wygląda na to, że będzie sporo niżej niż inflacja zapisana w ustawie budżetowej na ten rok - bo tam jest wpisane 6,6 proc.
Tak, spodziewam się, że tegoroczna inflacja będzie niższa niż ta zapisana w ustawie budżetowej, ale niepewność co do jej poziomu jest duża - co widać po szerokim przedziale prognoz rynkowych.

Robiliście symulację, o ile inflacja skoczy po wygaszeniu obniżki VAT-u na żywność od 1 kwietnia i po likwidacji osłon na energię elektryczną od 1 lipca?
Wpływ przywrócenia 5-procentowej stawki VAT na żywność na inflację będzie niewielki, co jest związane z ogólną sytuacją na rynku dystrybucji żywności w Polsce, ale również ze względu na światowe trendy. Widzimy, że spadają ceny produktów rolnych na rynkach globalnych, są one najniższe od dwóch lat. Odnośnie cen energii elektrycznej, to prace nad programem osłonowym trwają obecnie w Ministerstwie Klimatu - choć oczywiście resort finansów też jest w nie zaangażowany. Pracujemy nad rozwiązaniem, które sprawi, że ewentualne podwyżki cen będą dla Polaków stosunkowo nieodczuwalne.

W jaki sposób chcecie sprawić, żeby Polacy likwidacji osłon na prąd nie odczuli? Teraz Pan zapowiada przedłużenie czasu ich obowiązywania?
Nie, żadne ostateczne decyzje w tej sprawie nie zapadły. Ale skuteczne rozwiązanie, które wypracuje Ministerstwo Klimatu, zostanie niedługo przedstawione i następnie zatwierdzone przez rząd.

Pan celowo przerzuca odpowiedzialność za tę kwestię na Ministerstwo Klimatu? Bo jednak trudno uwierzyć, że Pana resort jest z tych decyzji całkowicie wyłączony.
Rolą Ministerstwa Finansów jest zapewnienie finansowania przyjętych rozwiązań. Natomiast wypracowanie operacyjnych rozwiązań to zadanie w pierwszej kolejności Ministerstwa Klimatu.

Widzi Pan przestrzeń w budżecie na przedłużenie osłon finansowych chroniących Polaków przed drogim prądem?
Środki na osłony przed wysokimi cenami prądu są zabezpieczone, ale więcej konkretów na razie podać nie mogę. Czekamy na propozycję rozwiązań ze strony resortu klimatu.

Przejął Pan Ministerstwo Finansów od poprzedników razem z wprowadzonym w 2022 r. Polskim Ładem. Ta reforma od początku wzbudzała mnóstwo kontrowersji i niechęci. Jak ten program skomplikował Panu życie?
Trzeba podkreślić, że Polski Ład zdemolował polskie finanse publiczne, a w szczególności finanse samorządów. Pokazał to chociażby ostatni raport NIK-u. Jestem po serii spotkań z samorządowcami z dużych miast oraz ze średnich i mniejszych ośrodków. Widzę wyraźnie, jak źle wygląda sytuacja finansowa wielu jednostek samorządu terytorialnego (JST). Potrzebne są w tym zakresie szybkie działania i dlatego już dziś pracujemy nad nowym sposobem finansowania samorządów. A przecież nie tylko samorządy odczuły skutki wprowadzenia Polskiego Ładu. Spotykam się również z przedsiębiorcami, z którymi wspólnie staramy się wypracować rozwiązania, które pozwolą zniwelować skutki złych rozwiązań wprowadzonych przez Polski Ład.

Mimo Polskiego Ładu Warszawa miała w dwóch ostatnich latach na koniec roku niewykorzystane środki w swoim budżecie. Trudno taką sytuację uznać za przykład demolki finansowej.
Zeszły rok Warszawa zakończyła z deficytem sięgającym 2,5 mld złotych, a dochody bieżące nie wystarczają na pokrycie wydatków. Nie skupiajmy się jednak na Warszawie, wiele inwestycji w polskich mniejszych miejscowościach zostało z powodu Polskiego Ładu zablokowanych. Był on tak naprawdę uderzeniem w samą ideę samorządności. Moim celem jest, aby finanse samorządów były stabilne, przewidywalne i mniej zależne od polityków w Warszawie. Chcemy, żeby nowy system finansowania jednostek samorządu terytorialnego był niezależny od zmian w stawkach podatkowych PIT, CIT.

Spadek wpływów do budżetów samorządów był niejako efektem ubocznym obniżki głównej stawki podatku PIT z 17 do 12 proc.
Niektóre samorządy otrzymały z tego tytułu wyrównanie w postaci tekturowych czeków, ale inne nie. Z raportów NIK jasno wynika, że dostawały je te samorządy, które były zaprzyjaźnione z ówczesną władzą centralną. To patologiczny system. Chcemy uniemożliwić tego typu działania w przyszłości, dlatego właśnie planujemy uniezależnić finanse samorządowe od centralnych.

Jak to osiągnąć? Wprowadzicie sztywną dotację budżetową dla samorządów?
Chcemy oprzeć nowy system na dochodach generowanych przez osoby fizyczne i firmy znajdujące się na terenach danego samorządu. W pewnym uproszczeniu - idea jest taka, że ich finanse będą powiązane z zarobkami mieszkańców i przedsiębiorstw poszczególnych jednostek samorządu terytorialnego, a nie z wysokością podatków płaconych fiskusowi. To sprawi, że w sytuacji, gdy gospodarka będzie się szybciej rozwijać i w konsekwencji dochody Polaków będą rosły, to wpływy samorządów też będą wyższe. Z kolei, gdy gospodarka znajdzie się w stagnacji, te wpływy też nie będą szybko rosnąć - ale dokładnie ten sam problem będzie miał budżet centralny. Natomiast zmiana systemu podatkowego nie sprawi, że zmienią się wpływy samorządów. Nasza propozycja ustabilizuje ich dochody, pozwoli uniknąć skoków w ich wysokości, które obserwowaliśmy w ostatnich latach. Będziemy też naturalnie pamiętać o samorządach z obszarów wiejskich, gdzie tzw. baza podatkowa jest niższa.

Polski Ład podniósł też wysokość składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, co wzbudziło wiele kontrowersji. Pan przedstawił projekt zmian w tej sprawie - ale Polska 2050 oczekuje zmian większych, z kolei Lewica nie chce nawet takich. Jak Pan to pogodzi?
Faktycznie, głosy w tej sprawie są różne. Będziemy rozmawiać z naszymi koalicjantami i jestem przekonany, że wypracujemy wspólne rozwiązania. Zależy nam na takim rozwiązaniu, które sprawi, że uda nam się wypracować kompromis. To ważne, bo już wiemy, że liczba zawieszanych działalności gospodarczych wzrosła w stosunku do pandemicznych lat o ponad 30 proc.

Bo wygasły tarcze antykryzysowe, które sztucznie podtrzymały przy życiu wiele firm.
Prowadzenie działalności gospodarczej nie jest proste, dlatego szukamy rozwiązań, by przedsiębiorcom pomagać. Będziemy rozmawiać na ten temat.

Jest jakiś ostateczny termin, do którego zamierzacie wypracować kompromis?
Nie. Najważniejsze jest, by wypracować dobre rozwiązanie, korzystne dla przedsiębiorców.

Czyli można sobie wyobrazić sytuację, że Wasza koalicja nie wypracuje w tej sprawie porozumienia do końca swego istnienia.
Jestem przekonany, że porozumienie w tej sprawie znajdziemy stosunkowo szybko.

Podwyżka składki zdrowotnej miała pomóc sfinansować wzrost wydatków na służbę zdrowia. Jeśli teraz tę składkę obniżycie, to w jaki sposób planujecie wyrównać wpływy do NFZ?
Nakłady na ochronę zdrowia będą cały czas rosły - to zresztą wynika z ustawy, która obliguje nas do osiągnięcia pułapu 7 proc. PKB nakładów w 2027 r. Przedstawiona przez nas propozycja zmian w wysokości składki zdrowotnej oznaczałaby konieczność zwiększenia dotacji do NFZ o ok. 4 mld zł. Inne pomysły w tej sprawie są droższe. Będziemy szukać takiego rozwiązania, które z jednej strony zapewni stabilność finansów

SPODZIEWAM SIĘ, ŻE TEGOROCZNA INFLACJA BĘDZIE NIŻSZA NIŻ TA ZAPISANA W USTAWIE BUDŻETOWEJ, ALE NIEPEWNOŚĆ CO DO JEJ POZIOMU JEST DUŻA

eprasa.pl 4ffdeca71f

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Domański: Musimy dbać o stabilność finansów publicznych. Decyzja o przywróceniu stawki VAT na żywność od 1 kwietnia była tego dowodem, pokazała, że na tydzień przed wyborami jesteśmy gotowi podejmować odpowiedzialne decyzje

publicznych, a z drugiej stanie się formą wypełnienia naszego zobowiązania wyborczego.

Już teraz budżet ma deficyt przekraczający 5 proc. Przy tak dużej dziurze Polsce grozi objęcie nas przez UE procedurą nadmiernego deficytu. Jak połączyć rosnące potrzeby wydatkowe z koniecznością zachowania dyscypliny fiskalnej?
Jesteśmy w stałym kontakcie z Komisją Europejską w kwestii procedury nadmiernego deficytu, przedstawiamy argumenty wskazujące, że nasz wysoki deficyt jest konsekwencją sytuacji za naszą wschodnią granicą. Przypomnę tylko, że w tej chwili wydajemy na obronność ponad 4 proc. PKB, do tego dochodzą wydatki, jakie związane są z naszą pomocą niewojskową dla Ukrainy i jej obywateli znajdujących się obecnie na terenie Polski. Na to jeszcze nakładają się koszty wynikające z zaburzeń na rynku energii. Zaczynamy przymiarki do budżetu na 2025 r. i liczymy, że w tej perspektywie zanotujemy wyraźne ożywienie gospodarcze.

Według szacunków powinno ono mieć miejsce od drugiej połowy tego roku.
W tym roku gospodarka powinna się rozwijać w tempie 3 proc. PKB, w przyszłym prawdopodobnie przyspieszy do ok. 3,5 proc. Będziemy pracować nad tym, aby ten wzrost wykorzystać również do tego, aby wielkość deficytu sukcesywnie pomniejszać - choć nie dokonamy tego radykalnymi działaniami, chcę to wyraźnie podkreślić. Musimy dbać o stabilność i przewidywalność finansów publicznych. Decyzja o przywróceniu stawki VAT na żywność od 1 kwietnia była tego najlepszym dowodem, pokazała, że nawet na tydzień przed wyborami jesteśmy gotowi podejmować odpowiedzialne decyzje.

Rozmawiamy o problemach dla finansów, jakie wygenerował Polski Ład. Ale jest też druga strona tego medalu. Zmiany, jakie wprowadzał ten program, miały pomóc znaleźć fundusze na duże inwestycje - w ochronę zdrowia, ale też w infrastrukturę, czego symbolem stało się CPK. Wasz rząd te zmiany chce odkręcać. W jaki sposób więc zamierzacie finansować duże projekty infrastrukturalne?
Jestem ekonomistą. Zanim zostałem ministrem, przez lata zajmowałem się inwestycjami i dla mnie najważniejsze jest, żeby pieniądze były wydawane w efektywny sposób. Wymienił pan CPK, ale mamy też przykład elektrowni w Ostrołęce, która jest sztandarowym wręcz przykładem inwestycji będącej marnowaniem publicznych funduszy. W ostatnich dniach mamy całą serię doniesień o tym, jak spółki Skarbu Państwa dokonują odpisów z powodu wcześniejszych nieprzemyślanych inwestycji. Chcę, żeby pieniądze podatników były inwestowane tak, by w przyszłości przynosić zyski.

Wcześniej opowiadał Pan długo o zmianie sposobu finansowania samorządów. Czy to oznacza przekierowanie tam większych strumieni z budżetu - właśnie kosztem dużych inwestycji?
Nie będę wchodził w dyskusję na temat największych projektów, ponieważ są osobne organy powołane do tego, żeby przeprowadzić audyt dotychczasowych prac i ocenić, czy konkretna inwestycja ma sens czy nie. Choć jedna konkretna decyzja już zapadła i będzie ona miała ogromny wpływ na konkurencyjność polskiej gospodarki. Chodzi mi o elektrownię jądrową. To duży projekt, bardzo potrzebny polskiej gospodarce, pozwalający utrzymać jej konkurencyjność.

W Polsce po 1989 r. pozycja w rządzie ministra finansów była zawsze bardzo silna - za wyjątkiem krótkiego okresu rządów SLD i Jerzego Hausnera oraz ośmiu lat rządów PiS, kiedy resort finansów był w cieniu Ministerstwa Rozwoju. Teraz znów Ministerstwo Finansów znajduje się na czołówkach. Tym chcecie się odróżnić od PiS?
Koncentruję się na zadaniach, które dostałem do wykonania, w pierwszej kolejności na stabilizacji finansów publicznych i dbaniu o konkurencyjność naszej gospodarki. Dodatkowo został powołany Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, któremu przewodniczę, zajmujący się koordynacją działań związanych z polską gospodarką. Ale oczywiście zależy mi na tym, żeby Ministerstwo Finansów odzyskało należne mu miejsce w polskim systemie.

Należne, czyli jakie?
Kluczowego ośrodka dla polskiej gospodarki. Przecież wszystkie procesy gospodarcze, którymi zajmuje się rząd, w ten czy inny sposób przechodzą przez Ministerstwo Finansów, bo w końcu wszystko z finansami jest powiązane.

Tak było też za rządów PiS - ale ta partia symbolicznie postawiła resort finansów w cieniu, by pokazać, że dla niej najważniejszy jest rozwój.
Też myślę o gospodarce, stabilizacji finansów publicznych, jej konkurencyjności, budowaniu trwałych przewag konkurencyjnych naszego kraju. Szukam sposobów na finansowanie projektów, które pozwolą nam takie przewagi zdobyć - nie w horyzoncie roku, ale w horyzoncie dekad.

Co może dać Polsce takie przewagi?
Potrzebujemy jako kraj nowych silników wzrostu. Jednym z nich muszą być ludzie. Musimy stawiać na kapitał ludzki. Naszą rolą jest stwarzać takie warunki, które pozwolą firmom inwestować w Polsce. Mówię o przedsiębiorstwach krajowych, ale też zagranicznych. Nie chcę tutaj selekcjonować tych inwestorów, ale w oczywisty sposób najbardziej byśmy chcieli, żeby były to firmy przywożące do Polski technologie mające największą wartość dodaną, wiążące się z transferem najnowocześniejszych technologii. Drugim istotnym silnikiem jest transformacja energetyczna. Cały czas znaczną część energii wytwarzamy z węgla, co sprawia, że jest ona w Polsce jedną z najdroższych w Europie. Musimy to zmienić.

Zaraz na początku swojego urzędowania zapowiedział Pan, że będzie szukał sposobu, by doprowadzić do sytuacji, w której prywatne oszczędności Polaków zaczną pracować na rzecz gospodarki. Dokładnie to samo zapowiadali Pana poprzednicy w głośnym „planie Morawieckiego" - ale kompletnie im to nie wyszło. Dlaczego im to się nie udało? Co Pan zrobi, by teraz było inaczej?
Odpowiedź na to pytanie składa się z dwóch części. Po pierwsze, bardzo mi zależy, żeby wzrosły inwestycje polskich przedsiębiorstw. Chcemy to osiągnąć poprzez kilka działań. Przede wszystkim przez transformację energetyczną - już to omawialiśmy. Po drugie, musimy podnieść stabilność prawa. Dziś na jej brak narzekają właściwie wszyscy przedsiębiorcy. Będziemy dążyć do zmiany tego stanu rzeczy. To z tego powodu konsultujemy wprowadzane zmiany prawne z przedsiębiorcami, wydłużamy vacatio legis, by dać czas na dostosowanie się do zmian. Już widać pierwsze pozytywne sygnały - polscy przedsiębiorcy zaczęli wykazywać większe zainteresowanie kredytami - zapowiedź tego, że za chwilę ruszą inwestycje. Po trzecie, udało się uwolnić KPO, środki z tego programu też przyspieszą inwestycje. Twarde potwierdzenie w liczbach tych zmian będzie widać już w drugiej połowie tego roku i w roku 2025.

Pytałem jeszcze o Pana plany aktywizacji oszczędności Polaków - żeby przestali chować je w materacu.
Już pokazaliśmy system zachęt do tego, żeby trzymanie pieniędzy na lokatach było bardziej opłacalne.

Mówi Pan o zmianach w „podatku Belki"?
Tak. Chodzi o inne podejście do terminowych lokat bankowych oraz obligacji skarbowych, a także inwestycji na giełdzie. Zostaną wprowadzone limity, poniżej których przychody z zysków kapitałowych nie będą opodatkowane.

Pracownicze Plany Kapitałowe (PPK) pozostaną?
Uważam, że ten produkt z punktu widzenia oszczędzających jest jak najbardziej korzystny. I moim zdaniem warto odkładać środki w ramach PPK. Nie mamy żadnych planów, by wprowadzać zmiany w tym programie. Jest dla mnie niezwykle ważne, aby wspierać oszczędności Polaków, bo to również buduje siłę polskiej gospodarki. Ostatnie 30 lat to czas wielkiego sukcesu gospodarczego Polski. Dziś musimy zadbać o siłę polskiej gospodarki na kolejne dekady.

eprasa.pl 4ffdeca71f

Wrak samochodu WCK po izraelskim ostrzale

FOT. MOHAMMED SABER/EPA/PAP

DAMIAN SOBÓL ZGINĄŁ W STREFIE GAZY. NIÓSŁ POMOC OFIAROM WOJNY

Miał niewyczerpane pokłady empatii, zawsze służył innym pomocą. Od 2022 r. pojawiał się w najbardziej „gorących" miejscach świata. „Ta ja nie siedzę w jednym miejscu, ja to kocham..." – przemyską gwarą wyjaśnił niedawno przyjacielowi

Norbert Ziętal

Zawsze uśmiechnięty, lubiany, miał niewyczerpane pokłady empatii. Od małego lubił pomagać innym, udzielał się w różnych akcjach charytatywnych. Choć media podają, że miał 36 lat, to faktycznie 36. rok życia skończyłby dopiero 24 września. Nie zdążył założyć rodziny. Jakiś czas temu wyjechał do pracy w Holandii, imał się różnych zajęć, pracował m.in. jako kierowca.

Atak Rosji na Ukrainę i wybuch pełnoskalowej wojny u naszego wschodniego sąsiada sprawił, że tak jak setki mieszkańców Przemyśla, rzucił się pomagać uchodźcom wojennym. Poszedł jednak krok dalej. Zaangażował się w działania World Central Kitchen, światowej organizacji szefów kuchni, założonej w 2010 roku przez światowej sławy kucharza, właściciela kilku restauracji, José Andrésa. Głównym celem organizacji jest dostarczanie żywności wszędzie tam, gdzie doszło do klęsk żywiołowych lub wybuchu wojen. Wspierają każdego potrzebującego, niezależnie od tego, po której stronie konfliktu się znajduje.

Miał talent do organizowania pomocy

Pan Damian bez wahania ruszył z pomocą, w ramach WCK, ofiarom trzęsienia ziemi w Turcji i Maroku. Tutaj ujawnił się jego talent organizatorski i przywódczy. W Turcji zorganizował kilka kuchni polowych. Pokręcił się po okolicy i przekonał do współpracy miejscowych kucharzy. Gotują z produktów dostarczonych przez WCK.

Jego talenty plus doskonałą znajomość języka angielskiego dostrzeżono w WCK. Został koordynatorem tej organizacji, jeździł w różne miejsca na świecie. Sporo czasu spędził w Afryce. Pół roku temu trafił do Strefy Gazy. Właściwie najpierw do graniczącego z nią Egiptu. WCK miała plan, aby po egipskiej stronie, tuż przy granicy z Gazą, karmić uchodźców. Jednak okazało się, że mieszkańcy Gazy nie mogą opuszczać jej terytorium. Transporty z żywnością musiały jeździć do Strefy Gazy. To bardzo niebezpieczne, często niemożliwe. Różne organizacje pomocowe twierdzą, że Izrael poważnie ograniczył pomoc docierającą do Gazy drogą lądową. Z tego względu zdecydowano, po powiadomieniu władz Izraela i Strefy Gazy, o uruchomieniu morskiego korytarza humanitarnego z Cypru.

Przedsięwzięcie finansują głównie Zjednoczone Emiraty Arabskie. Transport morski zapewniają statki hiszpańskiej organizacji społecznej Proactiva Open Arms. Mają dobijać do prowizorycznego portu u wybrzeży Gazy. Stąd transporty przejmują ludzie z WCK i przewożą do potrzebujących. Na początku marca rozładowano jeden statek, teraz drugi. Właśnie taką misję wykonywał Damian Soból i sześcioro innych wolontariuszy (w tym palestyński kierowca).

Konwój był zgłoszony izraelskiej armii. Dlaczego został ostrzelany?

Wracali w konwoju trzech pustych samochodów. Dwa opancerzone samochody, jeden zwykły. Auta były oznaczone logo WCK. Zostali ostrzelani przez IDF - Izraelskie Siły Obronne. Nie był to pojedynczy strzał, ale rozłożona nieco w czasie akcja likwidacji trzech pojazdów. Ich wraki znajdowały się w odległości kilkuset metrów od siebie. Śmierć poniosło siedmioro wolontariu-

eprasa.pl 4ffdeca71f

FOT. FACEBOOK

Damian Soból 36. rok życia skończyłby dopiero 24 września. Nie zdążył założyć rodziny

FOT. WORLD CENTRAL KITCHEN

W Strefie Gazy zginęło siedmioro wolontariuszy World Central Kitchen. Po tej tragedii władze WCK stwierdziły, że wycofują swoich ludzi z tego regionu

szy WCK, w wieku 25 do 57 lat. Oprócz Damiana Sobóla również obywatele Wielkiej Brytanii, Australii, jedna osoba miała podwójne obywatelstwo USA i Kanady oraz obywatel Palestyny.

- Pomimo koordynacji ruchów z IDF, konwój został trafiony, gdy opuszczał magazyn Deir al-Balah, gdzie zespół wyładował ponad 100 ton humanitarnej pomocy żywnościowej przywiezionej drogą morską do Gazy - twierdzi WCK.

- To nie jest tylko atak na WCK, to jest atak na organizacje humanitarne pojawiające się w najstraszniejszych sytuacjach, gdy żywność jest wykorzystywana jako broń wojenna. To jest niewybaczalne - mówi Erin Gore, dyrektor generalna World Central Kitchen.

Bezpośrednio po tej tragedii władze WCK stwierdziły, że wycofują swoich ludzi z tego regionu.

Strefa Gazy: „jest bardzo ciężko, a ogrom tragedii jest nie do opisania"

Wiadomości o śmierci Polaka do Przemyśla zaczęły docierać w nocy z poniedziałku na wtorek. Pierwszą, oficjalną na Facebooku wczesnym wtorkowym rankiem opublikował prezydent Przemyśla Wojciech Bakun.

- Wczoraj (1 kwietnia - przyp. red.) w ataku rakietowym sił izraelskich na konwój humanitarny dostarczający żywność na terenie Strefy Gazy zginął nasz kolega, przemyślanin, wolontariusz, członek ekipy World Central Kitchen - Damian Soból. Nie ma słów, żeby opisać to, co czują w tej chwili osoby, które znały tego fantastycznego chłopaka... Niech spoczywa w pokoju - poinformował W. Bakun.

- Jestem załamany i opłakuję ich rodziny i przyjaciół oraz całą naszą rodzinę WCK. To są ludzie... anioły... Razem z nimi służyłem na Ukrainie, w Gazie, Turcji, Maroku, Bahamach i Indonezji. Nie są bez twarzy... nie są bezimienni. Rząd izraelski musi położyć kres temu masowemu zabijaniu. Musi zaprzestać ograniczania pomocy humanitarnej, zabijania cywilów i pracowników organizacji humanitarnych oraz używania żywności jako broni. Nigdy więcej niewinnych ofiar. Pokój zaczyna się od naszego wspólnego człowieczeństwa. Trzeba zacząć teraz - twierdzi José Andrés, założyciel WCK.

Pana Damiana doskonale znał Maciej Wolański, naczelnik Wydziału Kultury i Promocji Urzędu Miejskiego w Przemyślu. Byli rówieśnikami, przyjaźnili się, razem grali w piłkę nożną.

- Damiana znałem długo. Dobry chłopak (...). Od początku wojny na Ukrainie zaangażowany w pomoc humanitarną. Pracował w World Central Kitchen - był koordynatorem. Dwa tygodnie temu, kiedy obchodziłem 36. urodziny dokładnie o 7.49 zadzwonił do mnie z życzeniami. Rozmawialiśmy długo. Trzy razy przerwało nam połączenie. Mówił, że jest w Strefie Gazy, że jest bardzo ciężko, a ogrom tragedii jest nie do opisania. Wczoraj odszedł. Zginął w konwoju z pomocą humanitarną. Vanitas vanitatum et omnia vanitas - napisał na Facebooku M. Wolański.

- Pana Damiana poznałem w Przemyślu, wielokrotnie rozmawialiśmy podczas akcji pomocy uchodźcom z Ukrainy, byłem przy tworzeniu przez WCK i niego osobiście największej na świecie kuchni polowej, która powstała w Przemyślu. Pana Damiana Sobóla wraz z szefostwem w czerwcu 2022 gościliśmy w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Podkarpackiego podczas konferencji prasowej marszałka Władysława Ortyla i zarządu województwa z największymi organizacjami współpracującymi z samorządem województwa, a niosącymi pomoc dla obywateli ukraińskich na granicy i na terenie Ukrainy - wspomina Piotr Pilch z Przemyśla, wicemarszałek podkarpacki.

Władze Izraela zapowiadały zniszczenie Hamasu

Strefa Gazy to obszar położony na wybrzeżu Morza Śródziemnego, graniczący na południowym zachodzie z Egiptem oraz na północy i wschodzie z Izraelem. Jego długość wynosi 40 km, szerokość ok. 10 km. Nie jest uznawana za część żadnego niepodległego państwa, chociaż za pośrednictwem władz palestyńskich stawia żądania włączenia w skład przyszłego państwa Palestyny.

Obecna wojna w Strefie Gazy spowodowana była ogromnym atakiem Hamasu (palestyńskiej organizacji terrorystycznej) 7 października 2023 roku, co skutkowało wypowiedzeniem wojny przez Izrael. Według Sił Obronnych Izraela bojownicy Hamasu, zanim na początku października 2023 roku wkroczyli na terytorium Izraela, wystrzelili w kierunku tego państwa około 2200 rakiet (źródła Hamasu podają, że rakiet było 5000). Ostrzał rakietowy Hamasu był wymierzony w południowy i środkowy Izrael, w tym stolicę tego państwa Tel Awiw i inne duże miasta.

Władze Izraela zdecydowały o natychmiastowej i silnej reakcji, która ma całkowicie zlikwidować Hamas. Światowa opinia publiczna potępiła ataki Hamasu, jednak w większości sprzeciwia się również brutalności działań wojsk Izraela. Pojawiają się częste apele o zaprzestanie atakowania przez Izrael obiektów cywilnych, zwłaszcza szpitali. Jednak z drugiej strony izraelskie IDF często pokazuje, że właśnie takie obiekty są wykorzystywane przez bojowników Hamasu do ukrywania się i kierowania stamtąd akcjami zbrojnymi.

„Po prostu pytamy, ile posiłków potrzebujesz"

W tym wszystkim pojawiają się wolontariusze, którzy starają się pomóc bezbronnym ofiarom wojny. World Central Kitchen zajmuje się wyłącznie dostarczaniem pomocy humanitarnej, konkretnie żywności, w regionach konfliktów zbrojnych czy kataklizmów. Nigdy nie wspiera żadnej strony konfliktu, tak jest również w Strefie Gazy.

Władze tej organizacji twierdzą, że izraelskie IDF wiedziało o konwoju w tym miejscu. Dlaczego zatem doszło do ataku? Odpowiedzialność za ostrzał konwoju wzięła na siebie izraelska armia. Dokładne okoliczności zdarzenia ma wyjaśnić śledztwo prowadzone przez izraelskie służby. 2 kwietnia własne postępowanie wszczęła Prokuratura Okręgowa w Przemyślu. Dotyczy ono śmierci Polaka i prowadzone jest pod kątem zabójstwa z użyciem materiałów wybuchowych.

- Siedem osób zabitych w poniedziałek podczas misji World Central Kitchen w Gazie było najlepszym przykładem ludzkości. Nie są bez twarzy i bez imion. Nie są to pracownicy pomocy ogólnej ani szkody uboczne podczas wojny. Saifeddin Issam Ayad Abutaha, John Chapman, Jacob Flickinger, Zomi Frankcom, James Henderson, James Kirby i Damian Soból zaryzykowali wszystko dla najbardziej fundamentalnej ludzkiej działalności: dzielenia się jedzeniem z innymi. Ich praca opierała się na prostym przekonaniu, że żywność jest powszechnym prawem człowieka. Nie jest uwarunkowane byciem dobrym lub złym, bogatym lub biednym, lewicowym lub prawicowym. Nie pytamy, do jakiej religii należysz. Po prostu pytamy, ile posiłków potrzebujesz - twierdzi José Andrés. ©℗

FOT. FACEBOOK

Talent organizatorski i przywódczy pana Damiana oraz doskonała znajomość języka angielskiego zostały dostrzeżone w WCK. Został koordynatorem tej organizacji

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

CENTRALNE BIURO ANTYKORUPCYJNE. KRÓTKA HISTORIA SŁUŻBY

Wiadomo, że im ciszej o służbach, tym lepiej dla nich – to stara zasada, której przestrzegają ich szefowie, a przynajmniej powinni przestrzegać. Tyle tylko, że o CBA, właściwie od momentu jego powstania, mówiło się dużo i nie zawsze dobrze. Czy to będzie koniec tej służby?

Dorota Kowalska

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Dla polityków Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy CBA to skompromitowana i polityczna służba

Decyzja zapadła. Koalicja rządząca chce zlikwidować CBA. Tego ruchu można się było zresztą spodziewać - dla polityków Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy to skompromitowana i polityczna służba.

Może dlatego jednym z punktów umowy koalicyjnej, jaką podpisali liderzy partii tworzących większość w nowym Sejmie, był ten mówiący o rozwiązaniu Centralnego Biura Antykorupcyjnego i przekazaniu jego kompetencji innym służbom specjalnym.

- Jeżeli chodzi o CBA, jeżeli chodzi o IPN, uważam, że te instytucje powinny być zlikwidowane - mówił tuż po wyborach Włodzimierz Czarzasty z Nowej Lewicy. - Trzeba się przyjrzeć temu od środka, ja bym likwidował - dodał.

W podobnym tonie wypowiadał się Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy i wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej.

- Ono zostało tak krańcowo upolitycznione - i widzieliśmy to w tych ostatnich latach, że właściwie tylko i wyłącznie wykonywało policyjne zamówienie - że trudno sobie co innego wyobrazić - tłumaczył w Polsat News.

Te zapowiedzi wzbudziły reakcję polityków Zjednoczonej Prawicy, dla których CBA to młot na skorumpowanych polityków i urzędników wszystkich szczebli.

- Likwidacja CBA, przewidziana w umowie koalicyjnej KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, spowoduje realne szkody w państwie; zarzuty o upolitycznieniu i upartyjnieniu CBA są bałamutne i mają utorować drogę do likwidacji tej służby - ocenił ówczesny zastępca ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. - To jest postulat bardzo szkodliwy dla CBA oczywiście, ale przede wszystkim dla państwa polskiego. Nie mam cienia wątpliwości, że likwidacja takiej służby jak CBA spowoduje realne szkody w naszym państwie - dodał.

W jego opinii przeniesienie części funkcjonariuszy czy spraw do innych służb nie zrekompensuje strat, które wynikną z likwidacji CBA.

Na uwagę, że główne zarzuty przywoływane przez polityków tych partii dotyczą upolitycznienia czy upartyjnienia służby, Żaryn odparł, że „to są zarzuty bałamutne".

- To jest narracja, która po prostu jest próbą manipulowania tym obrazem CBA, jest próbą pokazania fałszywego obrazu CBA po to, żeby można było utorować sobie drogę do zlikwidowania tej służby. Mamy do czynienia ze służbą, która działa profesjonalnie, bez względu na polityczne uwarunkowania czy polityczne powiązania osób podejrzanych - zapewnił.

Ale co niektórzy poczuli się zagrożeni. Ówczesny szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego płk Andrzej Stróżny wysłał do partnerskich służb antykorupcyjnych list w sprawie pomysłu likwidacji CBA. Napisał w nim, że „już sam zamiar likwidacji Biura jest naprawdę wyjątkowy na skalę europejską, gdyż jak dotąd nikt nie zdecydował się podnieść ręki na żadną z instytucji antykorupcyjnych, wymaganych przecież przepisami samej Unii Europejskiej. Te polityczne zapowiedzi, jeśli zostaną zrealizowane, mogą stworzyć precedens i zachęcić polityków innych krajów do podjęcia prób likwidacji lub wprowadzania głębokich reform także w innych instytucjach antykorupcyjnych. W instytucjach, które powstały w celu kontrolowania także osób pełniących najwyższe funkcje państwowe".

Wyjaśnił, że taki ruch może skierować wszystkich z powrotem na ścieżkę, po której korupcja będzie kroczyć zdecydowanymi i pewnymi krokami.

„Z pewnością osłabiłoby to całą Unię Europejską i zatrzymało rozwój, na który wszyscy tak ciężko pracowaliśmy i do którego z takim przekonaniem dążyliśmy" - dodał.

„Histeryczna akcja szefa CBA, który nagle przypomniał sobie o wartościach UE i »donosi« za granicą na złych polityków, którzy chcą rozwiązać CBA" - skwitował krótko Paweł Wojtunik, były szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego i dyrektor Centralnego Biura Śledczego.

Teraz zapowiedzi stają się faktem. W marcu w Monitorze Polskim pojawiło się „Zarządzenie w sprawie Międzyresortowego Zespołu do spraw Opracowania Koncepcji oraz Przygotowania Procesu Likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego".

Zespół, jak można było przeczytać w dokumencie, ma być „organem pomocniczym Prezesa Rady Ministrów". Do jego zadań należy opracowanie koncepcji i przygotowanie procesu likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

Minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak zapowiedział, że nic nie będzie się działo bez wiedzy społeczeństwa, projekt likwidacji CBA zostanie przedstawiony w Sejmie i Senacie.

- Chcemy go przeprowadzić w bardzo rzetelny sposób. Najpierw konsultacje międzyresortowe, potem Sejm, Senat i też chcemy wejść w dialog z prezydentem, by swym podpisem taką decyzję wsparł. Chcemy też opinii publicznej pokazać, że walka z korupcją będzie lepiej zorganizowana niż w tej chwili, że wola likwidacji CBA to nie jest rezygnacja z walki, ale jedynie że państwo chce ją lepiej zorganizować, włączając w to policję, ABW i Krajową Administrację Skarbową - mówił Siemoniak w Radiu Wrocław.

Dodał, że „nikt nie założył rąk i czeka na likwidację", CBA cały czas działa. Dziś wiadomo już, że projekt jest gotowy, rozpoczęło się jego procedowanie.

A że politykom koalicji rządzącej CBA źle się kojarzy, nikogo nie powinno dziwić. Ostatnio o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym było głośno głównie z powodu afery Pegasusa.

Przypomnijmy, 15 września 2017 roku na posiedzeniu sejmowej Komisji Finansów Publicznych jej członkowie zajęli się między innymi „zaopiniowaniem wniosku ministra sprawiedliwości w sprawie zmian w planie finansowym Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej na 2017 rok". Dzięki tym zmianom CBA miało dostać 25 mln zł na zakup Pegasusa. Posłowie nie wiedzieli jednak, że chodzi o system szpiegowski. Wniosek na komisji przedstawiał wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

Politycy Zjednoczonej Prawicy cały czas podkreślają jednak, że służby na każde użycie metod kontroli operacyjnej w Polsce uzyskują zgodę sądu. Tyle tylko, że we wniosku do sądu o zgodę na kontrolę nie podaje się rodzaju sprzętu, którego chce się użyć. Wydając zgodę na inwigilację, sądy nie wiedzą i nie żądają podania, czy ktoś będzie podsłuchiwany Pegasusem czy innym sprzętem słu-

eprasa.pl 4ffdeca71f

żącym do kontroli operacyjnej. Wielu prawników, ale też byłych oficerów służb specjalnych podkreśla także, że w ustawowych granicach kontroli operacyjnej nie mieści się wykorzystywanie oprogramowania Pegasus. Pegasus jest bowiem narzędziem szpiegowskim umożliwiającym totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmuje właściwie całą jego zawartość: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Pegasus śledzi lokację smartforna, nagrywa jego otoczenie w wersji audio oraz wideo, podsłuchuje szyfrowaną transmisję dźwięku oraz odczytuje zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Umożliwia nieograniczone śledzenie w czasie rzeczywistym lokacji aparatu w czasie prowadzonej kontroli, pozwala również na zainfekowanie telefonu oprogramowaniem inwazyjnym.

Jest też kolejna sprawa, być może najpoważniejsza: chodzi o podejrzenia o inwigilowanie Krzysztofa Brejzy, wówczas polityka opozycji, szefa sztabu wyborczego podczas trwania kampanii wyborczej. Pegasusem mogli być śledzeni nie tylko potencjalni przestępcy, ale osoby niewygodne dla ówczesnej władzy.

Kiedy afera ujrzała światło dzienne, „The Washington Post" pokusił się o porównanie sytuacji w Polsce do afery Watergate, która zakończyła prezydenturę Richarda Nixona. Associated Press pisał, że SMS-y z telefonu Krzysztofa Brejzy zostały „spreparowane i wyemitowane przez państwową telewizję w Polsce w ramach kampanii oszczerstw w zaciętym wyścigu wyborczym, który populistyczna partia rządząca ledwo wygrała".

Przywoływał także słowa samego Brejzy, który twierdzi, że dzięki nieczystym zagrywkom, PiS miał dostęp do planów wyborczych KO i dzięki temu mógł skutecznie torpedować ich pomysły.

Cóż, Centralne Biuro Antykorupcyjne, służba stosunkowo młoda, jest chyba tą, w której sporo się działo. W kwietniu 2021 roku w mediach pojawiła się dość sensacyjna informacja: z kasy Biura wyprowadzono kilka milionów złotych. Pracę stracili szefowie pionu finansowego i bezpieczeństwa wewnętrznego. Do dymisji miał się podać ówczesny szef CBA Ernest Bejda, lecz nie została ona przyjęta. Jak okazało się później, pracownica CBA, kasjerka, przez dwa lata regularnie kradła z kasy CBA pieniądze, w sumie ponad 9 mln złotych. Jej mąż obstawiał za nie zakłady bukmacherskie. Oboje usłyszeli już wyroki.

Wiadomo, że im ciszej o służbach, tym lepiej dla nich - to stara zasada, której przestrzegają ich szefowie, a przynajmniej powinni przestrzegać. Tyle tylko, że o CBA, właściwie od momentu jego powstania, mówiło się dużo i nie zawsze dobrze.

Cofnijmy się więc trochę w czasie. Centralne Biuro Antykorupcyjne powstało w 2006 roku jako „służba specjalna państwa polskiego, urząd do spraw zwalczania korupcji w życiu publicznym i gospodarczym, w szczególności w instytucjach państwowych i samorządowych, a także do zwalczania działalności godzącej w interesy ekonomiczne państwa". Na czele Biura stanął Mariusz Kamiński. Kiedy pytaliśmy, kto wpadł na pomysł powołania takiej jednostki, usłyszeliśmy, że właściwie Kamiński i Ludwik Dorn. „Mariusz mówił o tym jeszcze za czasów AWS" - wspominał Adam Lipiński, wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości.

W Sejmie III kadencji Ludwik Dorn zgłosił nawet projekt powołania takiego superorganu państwowego. Sami wybrańcy, urzędnicy mieli obstawić wszystkie kluczowe pozycje w państwie, a żeby nie byli podatni na korupcję, mieli dostać luksusowe samochody, mieszkania służbowe w eleganckich dzielnicach i superpensję. Projekt roboczo nazwano projektem „400 sprawiedliwych".

Pytanie, czy powołanie Biura miało w ogóle sens, skoro walką z korupcją zajmowała się policja?

- W powszechnej opinii nie do końca zajmowała się korupcją w sposób właściwy. Trzeba pamiętać, że zwłaszcza w małych miejscowościach istnieją pewne lokalne uzależnienia, wręcz sitwy, więc istniał opór mentalny przed walką z korupcją - mówił mi swego czasu Paweł Wojtunik, były szef CBA. - Na całym zresztą świecie jest trend, aby powoływać służby antykorupcyjne. Problem w tym, że w Polsce ta służba powstała w wyniku pewnej idei politycznej. Pierwszym jej szefem był były polityk, który wrócił zresztą potem do polityki. Tak nie powinno być. Biuro powinno być uniezależnione od władzy i jeśli na świecie rozmawia się o służbach antykorupcyjnych, to jako jej negatywny przykład podaje się właśnie początki CBA w naszym kraju - tłumaczył Wojtunik.

CENTRALNE BIURO ANTYKORUPCYJNE ZA CZASÓW PIERWSZYCH W NIM RZĄDÓW MARIUSZA KAMIŃSKIEGO TO BYŁA TWIERDZA NIE DO ZDOBYCIA

Centralne Biuro Antykorupcyjne za czasów pierwszych w nim rządów Mariusza Kamińskiego to była twierdza nie do zdobycia. W każdym razie legendy krążą o tym, jak prześwietlano pocztę, zanim trafiła na biurko szefa, czy interesantów. Wystarczy powiedzieć, że normą było wyciąganie wszystkiego z kieszeni, ba, nawet pasków ze spodni podczas wchodzenia do biura.

Agenci pracowali z rozmachem. Efekt? Wielkie nazwiska i ciężkie oskarżenia. Weronika Marczuk - oskarżona o korupcję. Posłanka Beata Sawicka - oskarżona o korupcję. Znany kardiochirurg Mirosław G. - oskarżony o korupcję, a nawet o zabójstwo. Małżeństwo Kwaśniewskich - podejrzane o ukrywanie majątku pochodzącego z nielegalnych źródeł.

W tle słynny agent Tomek - potem poseł Tomasz Kaczmarek - kokietujący, wręczający łapówki, odgrywający role bogatego biznesmena albo czułego kochanka. Wszyscy zacierali ręce i czekali na sądowe wyroki.

W II instancji posłanka Sawicka została jednak uniewinniona. Wyrok, jak podkreślał sędzia, zwalniał ją z odpowiedzialności karnej, ale nie moralnej, bo ta, co prawda, przyjęła łapówkę, ale - zdaniem sądu - dowody zostały zebrane nielegalnie.

Ale praca agentów CBA za czasów, kiedy kierował nimi Mariusz Kamiński, do dziś wzbudza emocje. Spektakularne zatrzymania, pokazowe konferencje prasowe. Tyle tylko, że tak naprawdę niewiele z tego zostało. Weronikę Marczuk, podobnie jak Sawicką, sąd uznał za osobę niewinną, kardiologa oskarżonego przez ministra Ziobrę o zabójstwo sąd z tego zarzutu i wielu innych zwolnił. CBA nie udało się też udowodnić niczego małżeństwu Kwaśniewskich, chociaż bardzo się o to starało. Pewnie sukcesy też były, ale to, co pozostało w świadomości społecznej po starym CBA, to - bardziej niż procesy i wyroki - styl pracy jego agentów: walizki pełne pieniędzy, romantyczne kolacje, drogie samochody, spotkania, prezenty - sidła zastawiane na swoje ofiary. Jak orzekł potem sąd: zastawiane nielegalnie, w sposób nieuprawniony. Ale pokusa była duża - spore pieniądze przyznane CBA, parcie na wynik, wreszcie swoboda działania. Wiele lat później o metodach pracy w tej służbie opowiadał skruszony agent Tomek. Ci, którzy mu wierzą, mówią krótko: patologia.

METODY PRACY CBA SZYBKO WZBUDZIŁY KONTROWERSJE: GŁOŚNO ZACZĘŁO SIĘ MÓWIĆ O NAGINANIU PRAWA PRZEZ FUNKCJONARIUSZY BIURA

„Jeszcze zanim zostałem ministrem, mówiłem, że jeśli nie było dowodów na popełnianie lub gotowość popełnienia przestępstw korupcyjnych, to nie powinno być sprawy ani wyroku skazującego. Inaczej policja chodziłaby po urzędach i próbowała korumpować urzędników. To by było niedopuszczalne" - mówił mi jakiś czas temu prof. Zbigniew Ćwiąkalski.

Polski system prawny nie zna wprawdzie „teorii owoców zatrutego drzewa", inaczej mówiąc - zakazu używania w procesie karnym dowodów zdobytych nielegalnie, ale obowiązuje zasada swobodnej oceny dowodów przez sąd. A ten może nie uznać, tak jak to zrobił w sprawie Sawickiej, dowodów, które - jego zdaniem - zostały zdobyte niezgodnie z prawem.

Metody pracy CBA szybko wzbudziły kontrowersje: głośno zaczęło się mówić o naginaniu prawa przez funkcjonariuszy biura, a 6 października 2009 roku prokurator Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie przedstawił Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi, jego zastępcy, zarzuty m.in. przekroczenia uprawnień i popełnienia przestępstw przeciwko wiarygodności dokumentów w związku z tzw. aferą gruntową, która doprowadziła do rozpadu rządzącej wówczas koalicji Prawa i Sprawiedliwości, Ligi Polskich Rodzin oraz Samoobrony Rzeczypospolitej Polskiej. Kamiński stracił stanowisko.

W marcu 2015 został przez sąd I instancji uznany za winnego przekroczenia uprawnień i nieprawomocnie skazany na karę 3 lat pozbawienia wolności. Przed uprawomocnieniem się tego orzeczenia, 16 listopada 2015 roku, prezydent Andrzej Duda zastosował wobec Mariusza Kamińskiego prawo łaski. Ale w 2023 roku panowie Wąsik i Kamiński zostali skazani za swoje czyny prawomocnym wyrokiem. Prezydent musiał ułaskawić ich ponownie.

Kiedy w 2009 roku szefem Biura został Paweł Wojtunik, mocno się uspokoiło. Wojtunik rzadko udzielał wywiadów, nie organizował konferencji prasowych, nie było mowy o zatrzymaniach w światłach kamer. Biuro pracowało spokojnie, bez rozgłosu. „Biuro przeszło proces reorganizacji, wynikiem czego jest m.in. duże ograniczenie stanowisk kierowniczych oraz stworzenie bardziej efektywnej i sprawnej struktury. Biuro otworzyło się też na świat zewnętrzny, na inne instytucje, w szczególności policję i inne służby specjalne. Współpracujemy ze służbami zagranicznymi, na co pozwala nam znowelizowana ustawa o CBA" - mówił ówczesny rzecznik Biura Jacek Dobrzyński.

W Biurze pracowało 766 funkcjonariuszy i 114 pracowników cywilnych. Jedna trzecia zatrudnionych osób to były kobiety. Śledztwa prowadzone przez Biuro najczęściej dotyczyły administracji samorządowej, a w dalszej kolejności: sektora gospodarczego, służby zdrowia i farmacji, administracji centralnej, terenowej administracji samorządowej oraz programów unijnych. Niektóre sprawy to naprawdę waga ciężka. Agenci Biura stwierdzili działania niezgodne z prawem w zamówieniach publicznych związanych m.in. z budową i wdrożeniem Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, modyfikacją systemów informatycznych dla policji czy przy zakupie usług i sprzętu teleinformatycznego dla Ministerstwa Sprawiedliwości. W innym śledztwie dotyczącym korupcji wśród podejrzanych znaleźli się marszałek województwa podkarpackiego i były zastępca komendanta powiatowego policji w Jarosławiu.

Ale jak mówili w Biurze, korupcja w Polsce ewoluuje.

„Polacy się zmienili. Są bardziej nowocześni, dużo podróżują, są świadomi swoich praw. Inna rzecz, że dzisiaj przeciętnego Polaka stać na zapłacenie mandatu. Więc oblicze korupcji na pewno się zmieniło. Zmieniły się jej jakość i charakter. Coraz rzadziej mamy do czynienia z taką ordynarną korupcją, nazwałbym ją kopertową. Powoli wychodzi z mody dawanie w ramach łapówek niskich kwot w gotówce. Częściej to na przykład dobrze płatna praca, fikcyjne umowy-zlecenia lub propozycja zostania czyimś doradcą. Amerykanie nazwali to zjawisko korupcją zakonspirowaną, bo to »układ« wielopoziomowy, bardzo inteligentny" - tłumaczył Paweł Wojtunik.

To, co z pewnością zmieniło się na korzyść, to społeczna świadomość korupcji i reakcja ludzi na jej przejawy. Rosła liczba sygnałów o potencjalnych przypadkach korupcji nadsyłanych do CBA. Jednak kierownictwo narzekało na budżet Biura pozostający od kilku lat na podobnym poziomie i pozwalający jedynie na bieżące funkcjonowanie. W Warszawie jednostki CBA rozlokowane były w dwóch obiektach, z czego jeden był wynajmowany. Biura nie było stać na to, żeby powstały delegatury we wszystkich miastach wojewódzkich, np. w kujawsko-pomorskim. Agenci mieli ponoć fatalne warunki pracy, niektórzy siedzieli w adaptowanych piwnicach.

Kiedy w 2015 roku Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory parlamentarne, nowa premier Beata Szydło odwołała Pawła Wojtunika i powierzyła pełnienie obowiązków szefa CBA Ernestowi Bejdzie. Wojtunik sam zresztą złożył rezygnację. Jak mówił, powodem było wszczęcie przez ABW postępowania kontrolnego, dotyczącego jego rozmowy z byłą wicepremier, minister rozwoju regionalnego Elżbietą Bieńkowską, nagraną w czerwcu 2014 roku w warszawskiej restauracji.

Tłumaczył, że decyzja tego typu powoduje automatyczne odsunięcie od wszelkiego rodzaju informacji o charakterze niejawnym. „Dalsze moje tkwienie na stanowisku, bez dostępu do informacji niejawnych, które stanowią 99 proc. materiałów rozpatrywanych przez CBA, byłoby farsą, fikcją, więc jako oficer podjąłem taką decyzję" - tłumaczył.

Do gry znowu wrócił Mariusz Kamiński, który został koordynatorem rządu do spraw służb specjalnych, także Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wojtunik popadł w kłopoty, ale też albo CBA, albo Mariusz Kamiński co rusz składali do prokuratury zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przez niego kolejnych przestępstw. Sam Wojtunik wielokrotnie mówił o nagonce na niego i jego rodzinę.

Jak CBA działało przez ostatnie osiem lat? Kiedy pojawiły się pierwsze informacje o planach jego likwidacji, Stanisław Żaryn, ówczesny zastępca ministra koordynatora, przytoczył dane z ostatnich lat działań CBA. Jak wyliczał, „od 2016 roku dzięki pracy CBA udało się zgromadzić dowody, które spowodowały postawienie zarzutów ponad 5300 podejrzanym. Na podstawie śledztw CBA doszło do sformułowania ponad 630 aktów oskarżenia, a samo CBA wykryło nieprawidłowości i przestępstwa, które skutkowały uszczupleniem Skarbu Państwa na kwotę ponad 18 mld złotych". Nie mówił o niesłusznie oskarżanych, wystawionych na publiczny lincz, skrzywdzonych przez służbę, która miała ich chronić. Słowem nie wspomniał o Pegasusie.

eprasa.pl 4ffdeca71f

Dziennik Bałtycki
Piątek, 5.04.2024

LALKI MALOWANE ŚWIATŁEM

Jest trzecią osobą na świecie, która zajęła się tworzeniem przegubowych porcelanowych lalek. Dodajmy – lalek cieszących się olbrzymią popularnością i uznaniem. Ilona Mingajło-Wright po 20 latach wróciła do Szczecina, żeby tutaj tworzyć i rozwijać swój warsztat. Jako Lightpainted Doll zaprasza nas do świata marzeń i fantazji

Małgorzata Klimczak

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Ilona Mingajło-Wright: W końcu zawzięłam się i postanowiłam wyjść z moją sztuką do ludzi

Skąd w pani życiu wzięły się lalki?
Lalki pojawiły się w moim życiu w Londynie, gdzie studiowałam sztuki artystyczne. Zajmowałam się fotografią i czasami w nocy miałam ochotę popracować, szukałam modeli, ale akurat nie miałam nikogo pod ręką. Szukałam modelek czy modeli, których łatwo ustawić i w ogóle nie będą marudzić. Tak trafiłam na lalki z ruchomymi przegubami, które można ustawić tak, jak się chce. Ponadto wyglądają bardzo realistycznie. Na początku je zaczęłam kolekcjonować, a potem zaczęłam kupować nagie, bez ubrań, w kawałkach. Sama je składałam, malowałam, robiłam odzież. Nauczyłam się robić peruki, szklane oczy. Podobało mi się, że z takiego pustego manekina można stworzyć swoje marzenia czy fantazje. Ale ja zawsze lubię nowe wyzwania, więc nie osiadłam na laurach, tylko szukałam dalej. Tak trafiłam na lalki tego typu, ale wytwarzane z porcelany. Wówczas robiły je tylko dwie Rosjanki – jedna w Kanadzie, a druga w Petersburgu.

Rosja zawsze słynęła z pięknych lalek.
Tak, stamtąd pochodzi niesamowita sztuka lalkarska. Tak jak wspomniałam, najpierw znalazłam w internecie Rosjankę, która mieszkała w Kanadzie, i jej lalki naprawdę mnie urzekły. To były prawdziwe dzieła sztuki z porcelany. Porcelana to materiał szlachetny, czasami jest trochę przezroczysta, więc lalki wyglądają, jak żywe. Gustuję w lalkach realistycznych, więc stwierdziłam, że muszę mieć taką lalkę. Zapłaciłam za nią 500 funtów, wtedy to było około 3 tysięcy złotych. Nie chciałam jednak mieć tylko czyichś lalek, ale robić własne. Niestety, nigdy wcześniej nie rzeźbiłam, więc kiedy zaczęłam rzeźbić, na początku wychodziły mi straszne rzeczy, ale to dosyć szybko się zmieniło. Poznałam osobiście tę dziewczynę z Kanady, była u mnie w Londynie, ja jeździłam do niej na wystawy. Chciałam, żeby mnie nauczyła robić takie lalki, ale ona nie chciała uczyć. Potem się okazało, że jest jeszcze jedna osoba, która robi takie lalki. Też Rosjanka, ale z Petersburga. Napisałam do niej, że chcę się uczyć, chociaż nie znałam rosyjskiego. Zawzięłam się, nauczyłam się języka i pojechałam do Petersburga, by dowiedzieć się, jak robić takie lalki. Rozmawiałyśmy trochę po rosyjsku, trochę po angielsku. Byłam tam przez półtora miesiąca, pracowałam po 16 godzin dziennie, ale udało się. Mieszkałam z całą jej rodziną, no i zrobiłam pierwszą porcelanową lalkę. Do tego zakochałam się w Petersburgu, uważam, że to cudowne miasto, pełne sztuki.

Jaka była ta pierwsza lalka?
Niezbyt piękna, ale później się podszkoliłam, poszłam na kurs rzeźby, ośmieliłam się i z czasem zaczęło mi wychodzić coraz lepiej. Moja nauczycielka poprowadziła mnie przez cały proces rzeźbienia kobiety, bo zdecydowanie wolę rzeźbić kobiety, do pocięcia jej, bo taką rzeźbę lalki trzeba pociąć, żeby potem połączyć jej poszczególne części i zainstalować przeguby. Ja jestem mało techniczna, mój mózg się przy takiej pracy wyłącza, ale nauczyłam się niezbędnych rzeczy. Konstruowanie przegubów to w zasadzie fizyka. Wiadomo, że w ciągu półtora miesiąca nie nauczę się za dużo, ale cały czas się doszkalałam. Po powrocie z Petersburga zaczęłam w końcu sama robić te lalki. Byłam trzecią osobą na świecie, która robi takie lalki.

Ile w tych lalkach jest pani?
Każdy artysta w swojej twórczości przemyca sporo siebie. Moje lalki na pewno mają pewne cechy charakterystyczne, na przykład buzie. Te porcelanowe lalki przegubowe stały się z czasem bardzo popularne. Jak wrzuciłam do internetu zdjęcia moich lalek, to mnóstwo osób chciało je mieć. Niektórzy chcieli mieć tę samą lalkę, ale jakbym się nie starała, to nigdy nie uda mi się zrobić dwóch identycznych lalek. Robiłam lalki z dużym powodzeniem, ale jak muszę robić sztukę dla pieniędzy, to mnie to zniechęca, więc cały czas myślałam, jak to wszystko poukładać. Z czasem wpadłam na to, żeby te lalki inkrustować srebrem, co zaczęłam robić jako pierwsza na świecie.

I co się tymi lalkami dzieje teraz?
W tej chwili zbieram lalki i rzeźby, żeby można było zrobić wystawę. Znam w Londynie dziewczynę, która ma nietypową galerię. Przyznam, że do tej pory nie miałam odwagi wystawiać swojej sztuki, za mało wierzyłam w siebie, ale w tym roku zawzięłam się i postanowiłam wyjść z moją sztuką do ludzi. Wzięłam udział w Otwartych Pracowniach w Szczecinie i każdy mnie pytał, kiedy zrobię wystawę. Mieszkałam przez 20 lat w Londynie i jak tam pojechałam, to odwiedziłam galerię, którą zawsze bardzo lubiłam. Wszyscy mi zawsze mówili, żebym nigdy nie chodziła do galerii ze swoimi pracami i nie pytała, czy właściciel jest zainteresowany, bo oni tego nie lubią. A ja poszłam pooglądać wystawy i całkiem przypadkiem była tam właścicielka galerii. Zaczęłam z nią rozmawiać, bardzo jej się spodobało wszystko, co jej pokazałam, ale problemem było to, że nie mam odpowiedniej liczby swoich prac, bo dotąd większość sprzedawałam. Nigdy nie miałam problemu ze znalezieniem klienta, ale miałam problem z promowaniem siebie, bo ja promuję świetnie, ale innych. Na szczęście z wiekiem to się u mnie zmienia i bardzo walczę o to, żeby pokazywać to, co robię. Oczywiście właścicielka galerii chciała, żeby te lalki na wystawie były w określonym stylu, z czym z kolei ja nie bardzo mogę się pogodzić, ale dowiedziałam się, że w zasadzie wszyscy artyści na początku idą na kompromis. Zrobię tak raz, a potem zdobędę renomę i będę mogła robić kolejne rzeczy już po swojemu.

Lalki sprzedaje pani przez Instagram?
Tak. W tej chwili przestałam je wystawiać, bo muszę je uzbierać na wystawę, a co potem zobaczymy. Na pewno chciałabym bardziej zaistnieć w Szczecinie. Pierwszym krokiem był udział w Otwartych Pracowniach. Przyszło do mnie bardzo dużo ludzi. Myślałam, że zamknę pracownię o 16, a ludzie przychodzili prawie do 21. Naprawdę byłam w szoku. Było przesympatycznie, poznałam wiele świetnych osób i mam nadzieję, że dużo razem zrobimy. Chciałabym organizować różne spotkania, podczas których spotykaliby się różni ciekawi ludzie. Chciałabym też bardziej zająć się rzeźbą. A jeśli chodzi o lalki, to przesunąć je bardziej w sferę zarobkową. Mam pomysł, żeby je zrobić i zlecać wykonanie w 3D. Na szczęście nie mam takiego parcia, żeby coś robić typowo zarobkowo. Znalazłam sobie inny sposób na zarabianie – projektuję wnętrza, maluję, ilustruję. Cieszę się, że wróciłam do Szczecina, mąż – Anglik – jest zachwycony, a ja mam w końcu czas, żeby siedzieć i spokojnie pracować. Tylko że ja spokojnie nie umiem.

CV

Ilona Mingajło-Wright
pseudonim:
Lightpainted Doll
Ma ogromne doświadczenie jako fotograf lalek. Ogromna dbałość o szczegóły i nadwrażliwość na piękną ludzką i bajkową formę zaowocowały tym, że stworzyła porcelanowe lalki z przegubami kulowymi, jak żadne inne. Niewielkie, subtelne i delikatne doskonale prezentują się w zestawieniu z filigranową biżuterią i miniaturami domków dla lalek. Prowadzi pracownię w Szczecinie.

eprasa.pl 4ffdeca71f

MATERIAŁ WYBORCZY 0011056966

eprasa.pl 4ffdeca71f

Artur Kiełbasiński, publicysta

ZABIJA NAS BRAWURA

Młody mężczyzna, trzeźwy, jadący wiosną lub latem – to statystyczny sprawca wypadku na polskich drogach.

Komenda Główna Policji opublikowała raport dotyczący statystyk wypadków drogowych w 2023 roku. Najważniejsze liczby napawają umiarkowanym optymizmem. Doszło do 20 936 wypadków (spadek o prawie 2 proc.), w których zginęły 1893 osoby (spadek o 0,22 proc.), a rannych zostało 24 125 osób (mniej o 2,5 proc.). Było bezpieczniej niż w pandemicznym roku 2020, gdy przez wiele miesięcy transport był ograniczony.

Ale głębsza analiza danych pozwala na stwierdzenie, które wielu kierowcom się nie spodoba. To brawura i brak rozsądku powodują wypadki. W policyjnym opracowaniu najczęstsze przyczyny wypadków są opisane bardzo solidnie – z rozróżnieniem na autostrady i inne typy dróg. Co więcej, możemy poczytać, jakie są przyczyny wypadków na odcinkach prostych i na skrzyżowaniach. I obraz jest jasny: wymuszanie pierwszeństwa, nadmierna prędkość. Są też wypadki spowodowane zaśnięciem za kierownicą i zmęczeniem, ale to pojedyncze wydarzenia w skali kraju – statystycznie nieistotne.

Obraz wypadku na polskiej drodze jest bardzo wyrazisty. Sprawca to młody mężczyzna. By dotrzeć do tej grupy, trzeba zmienić system szkolenia, rozbudzić ich wyobraźnię. Pokazywać, że kierowcy z naklejkami typu „zap.....ać" to potencjalni mordercy drogowi, a nie „fajne ziomki z pasją do auta".

A może jednak to seniorzy są kłopotem na drogach? Nie są. Po przeliczeniu liczby sprawców na populację okazuje się, że grupa 60+ powoduje 3 razy mniej wypadków niż młodzi, błyskotliwi, zdrowi.

Może zatem to warunki pogodowe? Statystyki tego nie potwierdzają. Najmniej wypadków jest w lutym, najwięcej od czerwca do września. Różnica jest drastyczna: w lutym miała miejsce połowa wypadków z września. W godzinach 14.00-19.00 doszło do 38,12 proc. wypadków z winy kierujących.

Ale też nie szukajmy innych usprawiedliwień. Pijani za kółkiem to plaga. Prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu to skrajna nieodpowiedzialność. Ale użytkownicy dróg (kierujący, piesi, pasażerowie) będący pod działaniem alkoholu uczestniczyli w 2074 wypadkach drogowych (9,92 proc. ogółu wypadków), śmierć w nich poniosło 290 osób (15,32 proc. ogółu zabitych). Widać, że to wypadki drastyczne i tragiczne, ale stanowią ułamek wszystkich wypadków.

Powiedzmy więc wprost: to nie starzejący się kierowcy mają największy wpływ na tragedie na polskich drogach. To nie stan techniczny pojazdów. To nawet nie pijani szaleńcy za kółkiem, choć tej kategorii usprawiedliwiać nie można.

Za bezpieczeństwo odpowiada każdy z nas, kierowców. Nasza skłonność do brawury, nasze przekonanie, jakimi jesteśmy świetnymi kierowcami. Przejechane setki tysięcy kilometrów dają poczucie doświadczenia. Tymczasem to bywa złudne. Nie ma jazdy „zbyt szybko, ale bezpiecznie". I trzeba o tym pamiętać. Najgorsze miesiące na polskich drogach już wkrótce się zaczną. Pamiętajmy o tym.

ŹRÓDŁO DANYCH: KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

Marcin Kędryna, publicysta

TO SKOMPLIKOWANE

Zdekadę temu byłem w Krakowie na prezentacji audi Q3. Późnym wieczorem wyszedłem do miasta (jak w Krakowie mówi się na ścisłe centrum, tę część w obrębie Plant). Po wielu przygodach trafiłem do Pauzy, knajpy, która mieściła się na piętrze kamienicy przy Floriańskiej. Knajpa dogorywała. Przy jednym ze stolików siedział twórca radia RMF, a z nim jakichś trzech facetów. Dosiadłem się, gdyż zawsze warto poobcować sobie z geniuszem, którym twórca RMF-u jest bezdyskusyjnie. Niestety, pora była taka, że z obcowania tego nie było wielkiego pożytku, natomiast bardzo interesujący byli współbiesiadnicy, z których najmłodszy był dezerterem z izraelskiej armii. O armii i państwie Izrael wyrażał się jak najgorzej. Nadawał na pranie mózgów, jakiemu Żydzi poddawani są od najmłodszych lat. Miał zbliżone do polskiej prawicy zdanie o wycieczkach do Auschwitz. Drugi z biesiadników, o wyraźnie lewicowych poglądach, spijał każde płynące z ust młodego Żyda słowo. W pewnym momencie, gdy dezerter przerwał monolog, by umoczyć usta, lewicowiec bąknął coś o cierpiących Palestyńczykach. Na to w młodego Żyda jakby wstąpił diabeł. Zaczął krzyczeć, że nic nie rozumiemy, że nie wiemy, jak to jest nie być pewnym, czy mama wróci do domu, czy nie wyleci w powietrze w zamachu na autobus, którym wraca z pracy. Że jedynym programem Palestyńczyków jest mordowanie Żydów, co zresztą widać po tym, jak wygląda Autonomia. Że Izrael musi się bronić, że Żydzi muszą się bronić, bo inaczej zostaliby wymordowani. Właściwie niewiele brakowało, by lewicowca walnął, zresztą niewiele by to zmieniło, bo już sam dysonans poznawczy był dla lewicowca trudny do udźwignięcia. Wydawało mu się – jak to bywa często u młodych lewicowców – że świat jest prosty.

Ale nie o tym.

W Strefie Gazy zginął Bogu ducha winny chłopak z Przemyśla. Rozmawiałem o tym z jednym z moich ulubionych polskich żydów, z Jarkiem Papisem. Nie była to specjalnie interesująca rozmowa, bo się generalnie zgadzam z Jarkiem, choć coraz trudniej trzymać stronę żydowskiego państwa, zwłaszcza gdy jego rząd przysyła do nas ludzi typu ekscelencja Livne. IDF przyznaje się do błędu, prezydent Herzog dzwoni z przeprosinami do José Andresa, założyciela World Central Kitchen (skądinąd znajomego prezydenta Bidena), a tymczasem ambasador opowiada takie rzeczy, jak gdyby za zadanie miał sprowokować jak najwięcej antyżydowskich wpisów w polskich mediach społecznościowych. Ale może właśnie o to chodzi, żeby izraelski rząd, zamiast tłumaczyć się przed swoimi wyborcami z błędów IDF (tak, wiem, jak wyglądał atak, uważam, że to była perfekcyjnie wykonana błędna decyzja), będzie mógł opowiadać o polskim antysemityzmie. Bo to jest zdecydowanie łatwiejsze. Złą informacją jest, że nasi rodacy ten łatwiejszy sposób będą jeszcze bardziej ułatwiać.

Mało kto już pamięta, że państwo Izrael założyli znajomi naszych dziadków. Ich sąsiedzi, ich znajomi, ich koledzy. I jednocześnie, co jest bardzo niepopularną tezą, nasi krewni. Pamiętam, jak prezydent Duda, na spotkaniu w ważnym dla historii Izraela, jerozolimskim hotelu King David, powiedział na spotkaniu z żydowskimi elitami, że przez tysiąc lat wspólnego życia w Polsce, wymieszało się nasze DNA. Siedzący na sali Żydzi wyglądali, jakby im ktoś w twarz dał. Nie wszyscy, gdyż na sali siedział też nieodżałowany Szewach Weiss.

Szewach Weiss pamiętał. Mówił, że Izrael urodził się w Polsce. Mówił, że Polska urodziła Izrael. Izrael, który nie był taki jak dzisiaj. Ale wciąż jest to pierwsza i jedyna taka demokracja w tej części świata.

Szewach opowiadał, że w kuluarach Knesetu rozmawiano po polsku. Dziś mówi się wyłącznie po hebrajsku. Problem polega na tym, że spora część politycznej klasy myśli po rosyjsku. Jak najprawdopodobniej ambasador Livne. Jak jego poprzedniczka, pani Azari. Rosyjscy Żydzi (nie pamiętając o tym, że ich przodkowie byli Żydami z Rzeczpospolitej), przywieźli z Rosji niechęć do Polski. Tą niechęcią gra od lat prawicowy rząd Izraela. Skutecznie. Szewach powtarzał, że Żydzi są jak Polacy. Tylko bardziej. A bardziej, bo przez dekady żyją w otoczeniu sąsiadów, którzy chcą ich wykończyć. Chcą i próbują. Żydzi temu przeciwdziałają. A, że mają za sobą doświadczenie Holokaustu, działają bardziej zdecydowanie, niż nam, na spokojnym Zachodzie mieści się w głowach. Ale być może tylko dlatego państwo Izrael jeszcze istnieje. Dziesięć milionów Żydów. Z jednej strony morze, a z pozostałych setki milionów ludzi, którzy by woleli, żeby Żydów nie było.

Mam nadzieję, że odpowiedzialni odpowiedzą za śmierć Damiana Sokoła.

Trzymanie strony Izraela jest trudne, bo ten kraj sam to utrudnia. Ja jednak trzymam. Przez pamięć o Szewachu. To nie jest dziś proste. To jest skomplikowane.

Dziennik Bałtycki
www.dziennikbaltycki.pl

p.o. Redaktora naczelnego **Mariusz Leśniewski,**
Prezes Makroregionu **Piotr Grabowski,**
Dyrektor Sprzedaży Makroregionu Pomorze **Ewa Żelazko,**
Dyrektor marketingu oddziału **Robert Gromowski**

Redakcja, ul. Połęże 3, 80-720 Gdańsk
redakcja@prasa.gda.pl, internet@prasa.gda.pl
Kolportaż: 58 728 08 17
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**, Biuro Prasowe: **biuroprasowe@polskapress.pl**,
Dyrektor kolportażu **Karol Wlazło**, Agencja AIP **kontakt@aip24.pl**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.dziennikbaltycki.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 4ffdeca71f

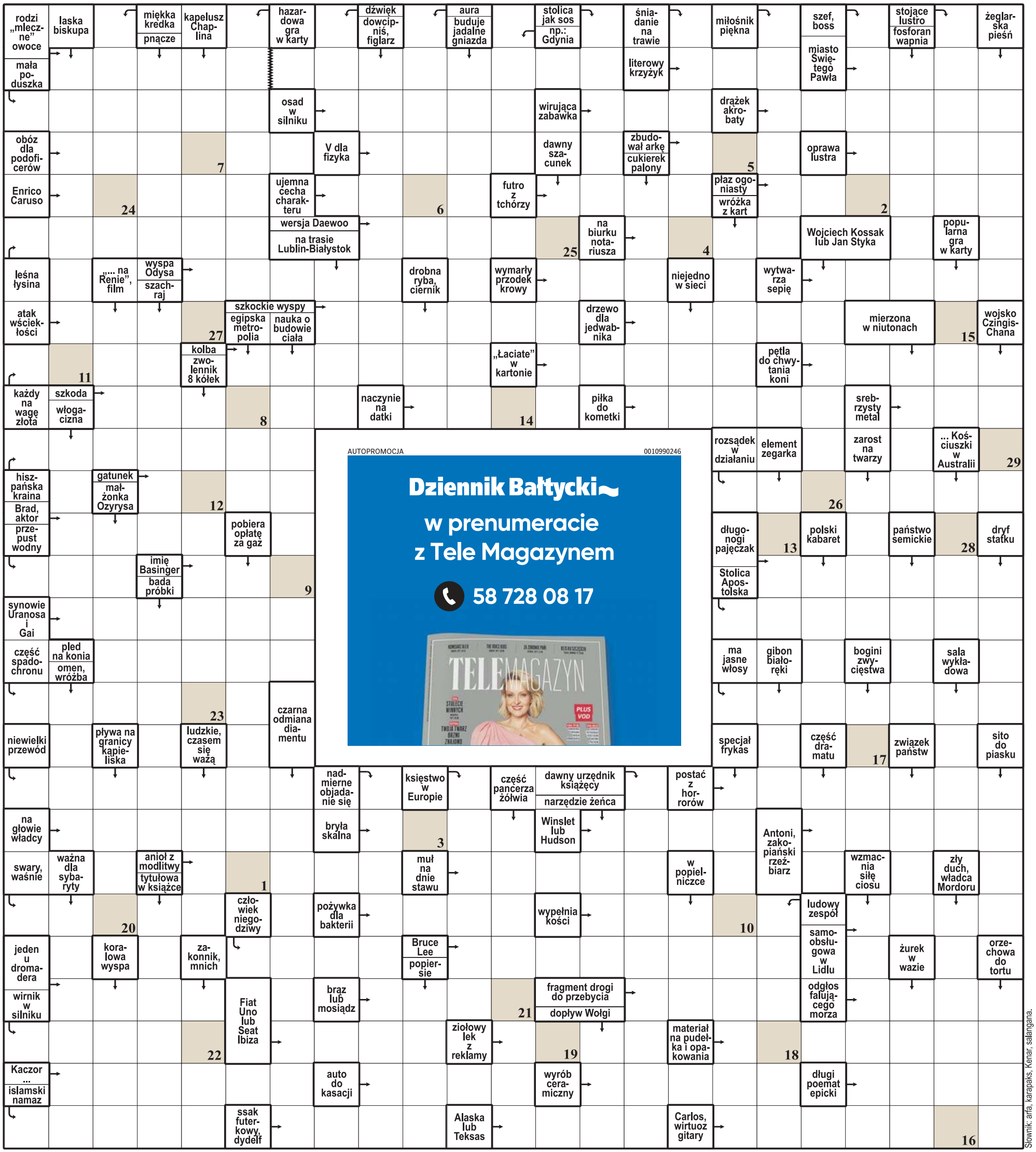

AUTOPROMOCJA 0010990246

Dziennik Bałtycki
w prenumeracie
z Tele Magazynem
58 728 08 17

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie – myśl Mikołaja Gogola.

ROZWIĄZANIE: TYLKO DLA MIŁOŚCI NIE MA PRZESZKÓD.

eprasa.pl 4ffdeca71f

0011055590

Z głębokim żalem zawiadamiam,
że dnia 31 marca 2024 roku
zmarła moja ukochana Mama

Zofia
Paluchowska-Ratajczak

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się
11 kwietnia 2024 roku o godz. 11.30
na Cmentarzu Garnizonowym.

W smutku pogrążona
córka z rodziną

REKLAMA 0010985611

Nekrologi i kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęże 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: **nekrologi@prasa.gda.pl**
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń **ibo.polskapress.pl**
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
  - **PPU Zieleń, Gdańsk, Partyzantów 76 www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73**
  - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31 tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl**
  - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl**

nekrologi.net

Ponad 1,2 mln zł strat po derbach na Śląskim

Jacek Sroka
j.sroka@dz.com.pl

PIŁKA NOŻNA. **Zniszczenia w sektorze zajmowanym przez kibiców Górnika Zabrze podczas meczu z Ruchem Chorzów oszacowano na 1,205 miliona złotych.**

FOT.STADION ŚLĄSKI

Kibice Górnika podczas Wielkich Derbów Śląska dokonali dużych zniszczeń w sektorze gości. Teraz klub z Zabrza będzie musiał za to zapłacić i pokryć koszty wszystkich napraw

Podczas rozegranych 16 marca na Stadionie Śląskim Wielkich Derbów Śląska kibice Górnika Zabrze zdemolowali sektor gości. Zniszczono serwerownię zabezpieczoną podwójnymi metalowymi drzwiami i infrastrukturę teleinformatyczną w tej części stadionu, dokonano demolki łazienek, w których wyrwano kilkanaście drzwi oraz zniszczono część płytek i fragmenty armatury. Uszkodzeniu uległy także elementy monitoringu dachu obiektu. Stadion Śląski właśnie skończył liczenie strat po wyrządzonych przez chuliganów szkodach.

- W sumie wyniosły one 1,205 miliona złotych. Najwięcej, bo niemal 950 tysięcy pochłonie odbudowa serwerowni wraz z systemem teleinformatycznym. Jeśli chodzi o elementy budowlane to tutaj straty oszacowano na blisko 173 tysiące, a naprawa uszkodzonego monitoringu dachu wyniesie niespełna 84 tysiące - stwierdził Adam Strzyżewski, dyrektor Stadionu Śląskiego.

Dla porównania straty spowodowane po Wielkich Derbach Śląska w sektorach zajmowanych przez kibiców Ruchu oszacowano na około 2 tysiące złotych i były one takie same jak na każdym spotkanie Niebieskich rozgrywanym na chorzowskim gigancie.

Stadion Śląski kwotę na pokrycie szkód dokonanych przez kibiców Górnika Zabrze pobierze z kaucji, którą złożył Ruch Chorzów wynajmując Kocioł Czarownic na mecze ligowe. Jednocześnie dyrektor obiektu zamierza wystąpić do Niebieskich o uzupełnienie kwoty zabezpieczenia wynoszącej 1,5 mln zł na resztę sezonu.

Chorzowianie będą domagać się natomiast pokrycia kosztów zniszczeń dokonanych w Kotle Czarownic od Górnika. Przyjazd 2 tysięcy kibiców zabrzan na Wielkie Derby Śląska był bowiem autoryzowany przez ten klub. Jeśli jednak Górnik nie będzie kwapił się do zapłaty tej kwoty to pieniądze mogą zostać wypłacone Niebieskim przez spółkę Ekstraklasa SA np. z transzy z tytułu praw telewizyjnych należnych zabrzanom za obecny sezon.

Jeśli chodzi o usunięcie szkód w sektorze gości to dyrektor Stadionu Śląskiego szacuje, że może potrwać to do pięciu tygodni. Rozpoczęły się już postępowania mające wyłonić wykonawców napraw poszczególnych zniszczeń. Po meczu z Górnikiem sektor dla kibiców przyjezdnych w Kotle Czarownic został zamknięty na trzy miesiące i w tym sezonie ligowym na pewno nie będzie już użytkowany. ©℗

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń

Biuro Ogłoszeń:
Gdańsk, Połęże 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

DWUPOKOJOWE

Sprzedamy korzystnie Państwa nieruchomość! [33-lata doświadczenia]. Zyskacie Państwo: czas - wygodę - bezpieczeństwo. Serdecznie zapraszamy. Hanna!!! 698 914 641 hanna@hanna.pl

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

INNE

WYNAJMIEMY Państwa nieruchomość - mieszkanie. Serdecznie zapraszamy. Bezpieczna weryfikacja. Jesteśmy do Państwa usług /33 lata/. Hanna!!! 698 914 641 hanna@hanna.pl

DOMY - KUPIĘ

KUPIĘ nieruchomości, również zadłużone, za gotówkę, 518-878-010

DZIAŁKI, GRUNTY KUPIĘ

GRUNTY ROLNE

KUPIĘ ziemię do 1ha.533-537-682

GARAŻE

GARAŻE blaszane, bramy garażowe, kojce dla psów. Transport, montaż gratis. Raty, www.konstal-garaze.pl, 55/621-23-38, 58/500-53-46, 512-853-323

POŚREDNICTWO

NIERUCHOMOŚCI Hanna!!!
604 273 151
33-lata doświadczenia

Sprzedamy korzystnie Państwa nieruchomość! Zyskacie Państwo: czas - wygodę - bezpieczeństwo. Zapraszamy. Hanna!!! 698 914 641

Handlowe

MATERIAŁY BUDOWLANE

BLACHODACHÓWKI, rynny, trapezy, więźby, okna, folie, 782-488-788

Motoryzacja

SAMOCHODY OSOBOWE- KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie, 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety, 501-005-692

KOMPUTEROWE

Laptopy, Komputery SERWIS Tanio, Dojazd, tel. 505-558-579

NAPRAWA drukarek, notebooków, laptopów, monitorów, UPS-ów, faxów, zasilaczy, niszczarek, Pruszcz Gdański, (58)683-04-04, 501-785-500

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACOWNIKA na fermę drobiu do prac remontowo-budowlanych z możliwością zamieszkania z rodziną. tel. 691-350-438

0011048601

APN Sentium®
Opieka z szacunkiem

Wyjedź jako opiekunka do Niemiec lub Holandii i zarób nawet
do 2000€ netto
na rękę
+48 500 401 901

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnus majówkowy 950 zł w górach koło Wadowic, tel.: 517-958-006, miodowyraj.pl

PROMOCJA - pobyt - 99 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

DANA - USTRONIE MORSKIE wczasy, maj-czerwiec - doba z wyż. od 125 zł, 601-585-510 www.danaustronie.pl

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlera) odchowane, 10- 20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

STARE książki - skup 881-934-948

eprasa.pl 4ffdeca71f

Wielki finał Pucharu Polski. O premię i europejskie puchary

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **2 maja Pogoń Szczecin albo Wisła Kraków zdobędzie Fortuna Puchar Polski. PZPN przygotował wysoką premię dla zwycięzcy. Gra toczy się też o awans do europejskich pucharów.**

Formalnym gospodarzem finału będzie Pogoń, bo tak wynikło z losowania przy okazji wyłonienia par półfinałowych. A w tej fazie drużyna ze Szczecina po dogrywce wyeliminowała lidera PKO Ekstraklasy, Jagiellonię Białystok. Natomiast pierwszoligowa Wisła Kraków w regulaminowym czasie gry uporała się z Piastem Gliwice.

Dla uczestników trwającej edycji krajowych rozgrywek PZPN przygotował w sumie 10 mln złotych premii. Równo połowa tej kwoty, czyli 5 mln, trafi do zwycięzcy. Finalista będzie musiał zadowolić się 760 tys., a przynajmniej taka premia obowiązywała w zeszłym roku.

Transmisję z finału po raz ostatni przeprowadzi Polsat na otwartym kanale Super Polsat, dostępnym w telewizji naziemnej. Początek w czwartek, 2 maja, o godzinie 16:00. Od kolejnej edycji licencja na rozgrywki należeć będzie do TVP.

Wisła chce po raz piąty sięgnąć po krajowe trofeum. Ostatni raz była w finale szesnaście lat temu. Od czwartego triumfu mija natomiast dwadzieścia jeden lat. Z Wisłą Płock (wygrana 3:0) brylowali wtedy tacy gracze, jak Maciej Żurawski czy Marcin Kuźba.

Pogoń w finałach bywała czterokrotnie, ale żadnego nie wygrała. Ostatni raz poległa w Bydgoszczy w 2010 roku z Jagiellonią Białystok, przegrywając 0:1 po bramce Andriusa Skerli. W przeciwieństwie do Wisły gablota Pogoni pozostaje pusta, drużyna Portowców nigdy nie była bowiem mistrzem Polski.

FOT. PAP/ART SERVICE

Wisła pokonała Piasta, a Pogoń wygrała z Jagiellonią. 2 maja oba te zespoły zagrają w finale na PGE Narodowym

Według bukmacherów to właśnie Pogoń uchodzi za murowanego faworyta do wygrania finału. Kurs na jej zwycięstwo wynosi około 1,60, podczas gdy na Wisłę aż 4,50.

Co daje wygranie Pucharu Polski? Ligę Europy!

Zwycięzca Pucharu Polski będzie reprezentować Polskę na arenie europejskiej. Zgodnie z regulaminem będzie mógł wystąpić w Lidze Europy od pierwszej rundy eliminacji. Dla porównania, w zeszłej edycji gwarancją były tylko kwalifikacje do Ligi Konferencji - rozgrywek najnowszych, o najniższym prestiżu.

Przypomnijmy, że mistrz Polski zagra w II rundzie eliminacji Ligi Mistrzów. Natomiast dwa pozostałe miejsca w eliminacjach Ligi Konferencji obstawią czołowe drużyny PKO Ekstraklasy - druga i trzecia albo czwarta - w zależności od tego, jak wypadnie na finiszu Pogoń. Musiałaby ona sięgnąć także po tytuł, żeby czwarte miejsce w lidze gwarantowało europejskie puchary.

Ostatni triumfatorzy Pucharu Polski:

Legia Warszawa - 2023 rok;
Raków Częstochowa - 2022;
Raków Częstochowa - 2021;
Cracovia - 2020;
Lechia Gdańsk - 2019;
Legia Warszawa - 2018;
Arka Gdynia - 2017;
Legia Warszawa - 2016;
Legia Warszawa - 2015;
Zawisza Bydgoszcz - 2014.

Wisła Kraków odda walkowerem finał?

Krakowski klub w środę awansował po raz pierwszy - w nowej formule - do finału Fortuna Pucharu Polski. Prezes Jarosław Królewski w nocy na portalu X (dawniej Twitter) zaszokował i zagroził nawet walkowerem.

O co poszło? Mianowicie rozeszło się o zakaz wyjazdowy, który otrzymali fani klubu ze stolicy Małopolski. W zeszłym sezonie krajowego pucharu po jednym z meczów został na nich nałożony za nieodpowiednie zachowanie. Przedstawiciel Fortuna 1. Ligi w trwającej kampanii nie miał jednak okazji do żadnego wyjazdu. Wszystko z tego powodu, że „Biała Gwiazda" swoje mecze rozgrywała u siebie w domu przy Reymonta 22.

Miejmy nadzieję, że wszystko się szybko wyjaśni i nie będziemy musieli zamiast wielkiego widowiska oglądać tego, jak jedna drużyna cieszy się ze zdobycia pucharu po walkowerze. Czekamy na oficjalne stanowisku PZPN w tej sprawie. Wisła Kraków już wysłała prośbę do związku o zawieszenie kary na jeden mecz. W przeszłości nasza federacja zgodziła się już na takie rozwiązanie w przypadku Lecha Poznań i finału w 2017 roku. Wszystko wskazuje na to, że w tym przypadku może być podobnie.

©℗

Szymon Marciniak nie jedzie na igrzyska olimpijskie w Paryżu

Jakub Maj
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Szymon Marciniak nie jedzie na igrzyska olimpijskie w Paryżu, które odbędą się latem tego roku. FIFA uznała, że Polak jest zbyt doświadczony, aby brać udział w tej imprezie.**

Szymon Marciniak cały czas rozbudowuje swoje sędziowskie CV. W 2022 roku wspiął się na sam szczyt i sędziował finał mundialu w Katarze między Francją i Argentyną. Pół roku później ponownie został wyróżniony i był rozjemcą w finale Ligi Mistrzów między Manchesterem City i Interem Mediolan. 43-latek musi jednak jeszcze poczekać, żeby do życiorysu wpisać igrzyska olimpijskie, gdyż FIFA zdecydowała, że nie powoła Polaka na tę imprezę.

Jako pierwszy pisał o tym Rafał Rostkowski, który wytłumaczył, skąd wzięła się decyzja FIFA na temat braku powołania dla Marciniaka. Odpowiedź jest prosta: polski sędzia jest zbyt doświadczony, dlatego nie weźmie udziału w imprezie. Piłka nożna na igrzyskach olimpijskich to w zasadzie turniej drużyn młodzieżowych do lat 23, w którym może grać tylko trzech zawodników starszych (w każdym zespole). Były sędzia, a obecnie ekspert TVP Sport wspomina, że tacy arbitrzy, jak Daniele Orsato, Anthony Taylor czy Danny Makkeli także nie znaleźli się na liście.

„Komisja Sędziowska FIFA wyznaczyła 89 sędziów (21 sędziów głównych, 42 asystentów, 20 sędziów VAR i sześciu sędziów pomocniczych) z 45 krajów do prowadzenia meczów podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu w 2024 roku. Turniej kobiet rozpocznie się 25 lipca 2024 r., a zakończy meczem o złoty medal na Parc des Princes w Paryżu 10 sierpnia 2024 r. Rywalizacja mężczyzn rozpocznie się 24 lipca 2024 r., natomiast walka o złoty medal odbędzie się 9 sierpnia 2024 r., także na Parc des Princes" - czytamy na stronie FIFA.

©℗

FOT. JAKUB STEINBORN

Marciniak nie pojedzie do Paryża, ale latem tego roku będzie sędziował na Euro 2024 w Niemczech

Jeremy Sochan przeszedł zabieg. Zdąży na mecze kadry?

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Reprezentant Polski Jeremy Sochan, który z powodu urazu stawu skokowego opuści pozostałą część sezonu ligi NBA, przeszedł w środę zabieg artroskopii lewego stawu kolanowego.**

Zabieg, który 21-letni koszykarz przeszedł w środę, oznacza dla niego przerwę w treningach i meczach, nie wyklucza jednak z udziału w czerwcowym zgrupowaniu reprezentacji Polski i występie w turnieju kwalifikacyjnym do igrzysk olimpijskich, który odbędzie się w dniach od 2 do 7 lipca w hiszpańskiej Walencji.

Sochan, który w lidze NBA rozegrał swój drugi sezon, nabawił się kontuzji w piątkowym meczu z New York Knicks, wygranym przez jego drużynę po dogrywce 130:126. W drugiej połowie meczu Polak niestety nie pojawił się już na boisku. Opuścił także poniedziałkowe spotkanie z Golden State Warriors (113:117).

To o tyle bolesna informacja dla fanów koszykarza, że Sochan do momentu odniesienia kontuzji wystąpił we wszystkich 74 spotkaniach swojej drużyny w tym sezonie, a w 73 z nich zagrał w podstawowej piątce. Jego średnie to 29,6 minut gry (drugi w zespole), 11,6 punktu (czwarty), 6,4 zbiórki (drugi) oraz 3,4 asysty (czwarty). W debiutanckim sezonie wskaźniki te wynosiły: 26,0 min, 11,0 pkt, 5,3 zb. i 2,5 as.

W porównaniu do poprzedniego roku Sochan poprawił też skuteczność rzutów za trzy punkty (z 25 na 31 procent), a także wolnych (z 70 na 77 procent).

Zespół Spurs, prowadzony przez słynnego trenera Gregga Popovicha, z bilansem 18 zwycięstw oraz 57 porażek zajmuje ostatnie miejsce w Konferencji Zachodniej NBA i trzecie od końca w całej lidze. Drużyna San Antonio nie ma już szans na awans do fazy play-off rozgrywek.

Urodzony w Oklahomie koszykarz w reprezentacji Polski zagrał jak na razie tylko raz. Trzy lata temu wystąpił w meczu eliminacji EuroBasketu przeciwko Rumunii, zostając przy okazji najmłodszym reprezentantem kadry w historii. W dniu meczu Sochan miał niespełna 18 lat, zdobył 18 punktów.

Zgrupowanie reprezentacji Polski rozpocznie się w czerwcu, a Biało-Czerwoni rozegrają cztery sparingi: na wyjeździe z Grecją, Chorwacją i Brazylią oraz w Katowicach z Nową Zelandią.

W turnieju kwalifikacyjnym do igrzysk olimpijskich we Francji Polacy zagrają w grupie B z Finlandią oraz Bahamami. Rywale Polaków mają w swoim składzie koszykarzy z najlepszej ligi świata - NBA - i o wygrane wcale nie będzie łatwo. W grupie A zagrają Hiszpania - faworyt całego turnieju, Liban oraz Angola.

Do półfinałów turnieju zakwalifikują się dwie najlepsze drużyny z grupy A i B. Na igrzyska do Paryża pojedzie tylko zwycięzca całego turnieju.

©℗

eprasa.pl 4ffdeca71f

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA
Piłkarze trzeciej ligi grupy drugiej rozegrają 24 kolejkę.
Piłkarskie zespoły z Pomorza powalczą o kolejne punkty w rozgrywkach trzeciej ligi grupy drugiej. Wciąż trwa rywalizacja o utrzymanie się w tej klasie rozgrywkowej. Program meczów drużyn z Pomorza w 24 kolejce trzeciej ligi grupy drugiej: Gedania Gdańsk - Unia Solec Kujawski (sobota, godz. 12), Błękitni Stargard - KP Starogard Gdański (sobota, godz. 15), Sokół Kleczew - Wikęd Luzino (sobota, godz. 16), Vineta Wolin - Cartusia Kartuzy (sobota, godz. 16), Stolem Gniewino - Pogoń Nowe Skalmierzyce (sobota, godz. 16).
(stan)

PIŁKA NOŻNA
Derby Pomorza rozegrane zostaną w drugiej lidze.
Radunia Stężyca podejmie Chojniczankę Chojnice w drugoligowych derbach Pomorza. Początek meczu w niedzielę o godz. 12.15.
(stan)

Lechia leci po wygraną do Katowic

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **To będzie prawdziwy hit w Fortunie 1. Lidze na tym etapie sezonu! Lechia Gdańsk zagra na wyjeździe z GKS Katowice.**

Oba zespoły w tym roku wygrały po sześć meczów i chcą kontynuować tę passę. Na kilka dni przed tym spotkaniem wszystkie bilety zostały wyprzedane. Piłkarze z Gdańska na mecz polecą samolotem.

Zawodnicy GKS mają imponującą serię, bo wygrali pięć ostatnich meczów i w efekcie awansowali na trzecie miejsce w tabeli. W Katowicach coraz głośniej mówi się o awansie do PKO Ekstraklasy, więc dla gospodarzy spotkanie z liderującą w tabeli Lechią będzie miało bardzo duże znaczenie. To Biało-Zieloni są w komfortowej sytuacji, bo mają osiem punktów przewagi. Piłkarze ze Śląska w tych spotkaniach pokonali Zagłębie Sosnowiec, Podbeskidzie Bielsk-Biała, Resovię Rzeszów, Znicz Pruszków oraz Miedź Legnica w zaległym spotkaniu z ubiegłego roku. Jedynej porażki drużyna z Katowic doznała z Wisłą w Płocku. Z kolei Lechia ma piękną serię sześciu zwycięstw w tym roku i chce, aby trwała. W Gdańsku dobrze pamiętają mecz z jesieni, w którym Lechia wygrała z GKS 5:1, ale rywale kończyli mecz w „dziewiątkę".

FOT. JAKUB STEINBORN

Tomas Bobcek w jesiennym meczu z GKS Katowice strzelił gola. W niedzielę na Śląsku chciałby to powtórzyć i przyczynić się do zwycięstwa zespołu

- Nie podchodzimy w taki sposób, że będziemy grać o remis. Zawsze wychodzimy na boisko z nastawieniem, żeby wygrać. Tak samo będzie w Katowicach i będziemy na boisku robić wszystko, żeby tak się stało. To będzie trudny mecz, bo GKS gra dobrze. Fajnie, że jadą nasi kibice i dadzą nam wsparcie. Nie ma w Katowicach dużego stadionu, ale będzie fajna atmosfera, dobry mecz i mam nadzieję, że nasze zwycięstwo. Nie skupiamy się na przewadze punktowej, ale żeby dobrze grać w każdym meczu. Nie pamiętam dokładnie pierwszego meczu. Wiem, że strzeliłem dwie bramki, a oni grali w dziewięciu, a i tak dobrze się prezentowali. To dobra drużyna i będzie gorąco - powiedział Tomas Bobcek, napastnik Biało-Zielonych.

Lechia mocno przygotowuje się do meczu na Śląsku, choć czasu na to nie ma zbyt dużo. We wtorek grała mecz z Odrą Opole, a już w sobotę uda się do Katowic.

- Musimy się dobrze przygotować do meczu, bo GKS to jeden z najlepszych zespołów w lidze. Bardzo dobrze zorganizowany w systemie z trójką obrońców. Funkcjonują w nim dłuższy czas i zachowania są powtarzalne i bardzo dobre. Przeciwnik na fali wznoszącej, ma swoje cele. My jednak staramy się robić to, co do tej pory. W naszej drużynie są rezerwy i chcemy udoskonalać naszą grę. Liczę na bardzo dobre spotkanie i trzy punkty dla nas - powiedział Szymon Grabowski, trener Lechii.

W zespole Biało-Zielonych na pewno nie zagra Dominik Piła, który musi pauzować za kartki. Zapewne zastąpi go Dawid Bugaj.

- Może być jeszcze jedna zmiana, jeśli nie będzie mógł zagrać zawodnik, który w czwartek z nami nie trenował - powiedział tajemniczo szkoleniowiec gdańskiego zespołu.

Ostatnio coraz głośniej było o zaległościach płacowych w Lechii wobec piłkarzy. Te sięgały już trzech miesięcy. To jednak nie powinno wpłynąć negatywnie na zawodników, bo właśnie otrzymali zaległe wynagrodzenie za styczeń, a wkrótce na ich konta powinny wpłynąć kolejne pieniądze.

- Z tego co wiem, to zaległości są regulowane. Właściciel dba, żebyśmy mieli dobre warunki do przygotowań do kolejnych meczów. Mieliśmy trzy tygodnie zgrupowania w Turcji, podróżujemy na mecze samolotem, a to wszystko kosztuje. Gdyby było naprawdę źle z finansami, to byśmy jeździli autokarem z jednym kierowcą. Jestem spokojny i zawodnicy również- zakończył trener Grabowski.

Mecz Lechii z GKS w Katowicach rozpocznie się w niedzielę o godzinie 15. Transmisja w Polsacie Box Go.
©℗

Arka chce się zrewanżować Chrobremu za porażkę

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Piłkarze Arki, po dwóch remisach z rzędu, wygrali z Miedzią w Legnicy i chcą pójść za ciosem. Przed nimi mecz w Gdyni z Chrobrym Głogów o kolejne punkty w Fortunie 1. Lidze.**

Rywal to już nie ta sama drużyna, co na początku sezonu i potrafi odbierać punkty faworytom.

We wrześniowym meczu w Głogowie, to Żółto-Niebiescy byli lepszym zespołem, ale w żaden sposób to się nie przełożyło na wynik. Chrobry wygrał 1:0 po jedynym celnym strzale i golu Mikołaja Lebedyńskiego, a najlepszą okazję dla gdynian zmarnował Karol Czubak, który nie wykorzystał rzutu karnego.

Teraz Chrobry prezentuje się zdecydowanie lepiej i uciekł ze strefy spadkowej, nad którą ma już dziewięć punktów przewagi. Nie przegrał żadnego z czterech ostatnich spotkań osiągając w nich trzy zwycięstwa i jeden remis. Wygrane były bardzo cenne, bo odniesione w rywalizacji z kandydatami do awansu do PKO Ekstraklasy - na wyjeździe z GKS Tychy 2:1 oraz u siebie z Wisłą Kraków 3:2. To rezultaty, które zasługują na szacunek i powinny wpłynąć na pełną mobilizację gdyńskiego zespołu.

- Chrobry to jest naprawdę dobry zespół. Mamy jednak do wyrównania rachunki z rundy jesiennej. Oddają dużo strzałów, mają dużo dośrodkowań, więc nie brakuje atutów tej drużynie - mówi Wojciech Łobodziński, trener Arki. - Po meczu z Miedzią jesteśmy trochę poobijani. Było trochę skurczów, bo organizmy zawodników nie były przystosowane do temperatury 25 stopni. Celowo nie chcieliśmy trenować przed meczem na głównej płycie. Nie chcieliśmy jej nadwyrężać. Gołym okiem widać, że boisko jest coraz lepsze.

- Na boisko wyjdziemy pewni siebie i zmobilizowani, bo znamy swoją wartość i na tym zamierzamy bazować. W tym momencie sezonu nie ma żadnego komfortu, nawet jeśli grasz z drużynami niżej notowanymi - dodał Sebastian Milewski, pomocnik Arki.

Arka zajmuje drugie miejsce w tabeli i ma dwa punkty straty do Lechii oraz sześć przewagi nad zespołami GKS Katowice i GKS Tychy. Drużyna z Gdyni chce gonić lokalnego rywala, ale też uciekać zespołom ze strefy barażowej. Tym bardziej po dwóch remisach bardzo cenne było zwycięstwo nad Miedzią w Legnicy, a równie ważne będą trzy punkty w starciu z Chrobrym.

- Sześć punktów nad barażami, to żadna przewaga. Jeszcze zbyt dużo grania przed nami. Jesteśmy jednak w formie dobrej, stabilnej i czujemy się mocni - zapewnia trener Łobodziński. - Proszę sobie jednak wyobrazić derby Trójmiasta w ekstraklasie po długim czasie. Dlatego chciałbym, żeby awansowały obie drużyny z Trójmiasta.

Kibice czekają, kiedy na boisku pojawi się hiszpański obrońca, Marco Navarro.

- Moje pierwsze wrażenie jest takie, że Navarro jest w formie. Trenuje z nami i ma świetnie wyniki. Miał być wzmocnieniem na dalszą część sezonu. Muszę przyznać, że zaskoczył mnie bardzo pozytywnie - wypowiedział się na temat Hiszpana trener Łobodziński.

Mecz Arki z Chrobrym rozpocznie się dziś o godz. 20.30. Transmisja w Polsacie Sport Extra i Polsacie Box Go.©℗

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Piłkarze Arki liczą na zwycięstwo przed własną publicznością po dwóch kolejnych remisach w Gdyni

eprasa.pl 4ffdeca71f